

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

ROK II — NR. 29 (71) — LONDYN
NIEDZIELA 20 LIPCA 1941

REDAKCJA

36, GREAT RUSSELL ST., LONDON W.C.1
Telefony: MUSEUM 2346 i 2563

ADMINISTRACJA

9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLBORN 0868

PRENUMERATA

kwartalnie

w Anglii 6s. 6d.
w innych krajach \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać
czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

OSKAR HALECKI

TRZY POMNIKI USTROJU STAROPOLSKIEGO*)

KONSTYTUCJA MAJOWA W HISTORJOGRAFI POLSKIEJ

O żadnym wydarzeniu w przebiegu naszych tysiącletnich dziejów nie pisało tyle co o konstytucji 3 maja. Zaczynając od polityków, którzy sami brali udział w jej ustanowieniu a potem patrzyli na jej upadek, aż do najwybitniejszych uczonych współczesnego nam pokolenia, nie było prawie nikogo, interesującego się historią Polski, który na ten temat nie zabrał głosu. W ostatnim tak świetnym okresie naszej historjografii, w szeregu niedawno zmarłych lub żyjących jeszcze pisarzy, osobnie jej konstytucji poświęcili studia nie tylko obaj twórcy nowoczesnej nauki o ustroju Polski, Oswald Balzer i Stanisław Kutrzeba, ale także badacze, których zainteresowania szły głównie w kierunku dziejów politycznych wcześniejszych lub późniejszych od czasów Stanisława Augusta, jak np. Stanisław Smolka, Ludwik Finkel i Marceli Handelsman.

Nie ograniczono się też wcale do traktowania reformy majowej w oderwaniu, jako pomnikowego samego w sobie aktu ustawodawczego. Kontynuator Walerjana Kalki, historyk ostatniego roku sejmów czteroletnich, Władysław Smoleński, pokazał nam dzień 3 maja na tle całości pracy wielkiego sejmu oraz przewrotu umysłowego w Polsce XVIII w. Dostojny zaś przedstawiciel polskiej nauki historycznej wobec Europy i świata, tragicznie zmarły na początku drugiej wojny światowej Bronisław Dembiński, pisząc w przedmowie do „Polsce na przełomie jej dziejów”, powiazał przełomową konstytucję z szerokiemi widnokręgami naszej ówczesnej polityki zagranicznej. A chociaż nie było mu dane ogłosić wielkie dzieło o czasach naszego ostatniego króla, nad którym pracował aż do ostatnich chwil życia, rzucił całe snopy nowego światła na najpiękniejszy z dni w życiu Poniatowskiego, zarówno we wstępnych przyczynkach jak też w syntetycznym zarysie wyniku swojej badań, wydrukowanym już po śmierci autora w polsko-angielskim wydawnictwie zbiorowym.

1791—1807—1815

Nie mnożąc przykładów i nie kusząc się o bibliografię konstytucji 1791 r., trzeba jednak zwrócić uwagę przynajmniej na jedną jeszcze okoliczność. Ważne jest mianowicie, że oddawna dziejopisarstwo nasze odczuwało potrzebę porównawczych nad tą konstytucją studiów. Porównano ją oczywiście ze współczesnymi reformami i ustawami obcymi, zwłaszcza francuskimi, co nasuwało się niemal wszystkim jej badaczom, prowadząc zresztą do podkreślenia raczej różnic aniżeli podobieństw, do uwydatniania cech swoitych konstytucji majowej. Ale w wyższym jeszcze stopniu zdawano sobie sprawę z konieczności porównania jej z innymi konstytucjami ogłoszonymi i obowiązującymi na ziemiach polskich. I otóż pod tym względem narzucało się wprost zestawienie z dwiema konstytucjami, których doczekało się to samo jeszcze pokolenie Polaków: z konstytucją Księstwa Warszawskiego z r. 1807 i z konstytucją Królestwa Kongresowego z r. 1815. Istotnie też te trzy właśnie Konstytucje stały się częstym przedmiotem ciekawych i wnikliwych porównań, od czasu Joachima Lelewela aż po dzień dzisiejszy.

Studia te dały i dać musiały obfite i pouczające wyniki. Musiały bowiem ustawy, wydane w tak krótkich odstępach czasu i dla tego samego, choć w różnych granicach zamkniętego narodu, zawierać liczne analogie, a przede wszystkim analogiczne poruszać materię. Musiała też każda podlegać pewnemu wpływowi poprzedniej i mniej lub więcej szczęśliwie korzystać z jej doświadczeń. Nie zapewniło to jednak żadnej z nich dłuższej trwałości, a najczęściej porównanie wychodzi właściwie na korzyść pierwszej, zwłaszcza o ile chodzi o zgodność z duchem narodowym i z istotnymi potrzebami Polski.

Już to spostrzeżenie nasuwa pewne wątpliwości, czy mimo zewnętrznych pozorów takie właśnie porównanie jest najbardziej uzasadnione i celowe. Odsłania nam bowiem zasadniczą różnicę między konstytucją majową a dwiema następnymi, różnicę tak głęboką i istotną, że wszelkie wnioski wysnute z bezsprzecznych nawet podobieństw stają się bardzo ryzykowne. Ze słusznym zadowoleniem stwierdzili twórcy ustawy z dn. 3 maja, że uchwalali ją „wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów”, podczas gdy o żadnej z tamtych nie można było tego powiedzieć. Prawda, że ani w r. 1807 ani w r. 1815, obca przy ustanawianiu nowej konstytucji ingerencja nie była ani tak hańbiąca ani tak wyraźna

jak przemocą nacechowana, jak te interwencje obce w dobie rozbiórów, którym sejm czteroletni z naciskiem przeciwstawiał swe dzieło. Ale bądźco bądź były to w obu wypadkach konstytucje okrojowane przez obcego władcę, chociażby wzbudzającego w danej chwili daleko idące nadzieje wśród większości Polaków. Polacy zaś sami, mimo udziału niektórych z nich w opracowaniu nowych tekstów, zwłaszcza pierwszych zasad konstytucji Królestwa Kongresowego, ani nie mogą ponosić odpowiedzialności za ujęcia ostateczne, ani też chlubić się tem co się w nich znalazło dodatniego jako rezultatem normalnego rozwoju ustrojowego Polski. Wszak decydująca była w pierwszym wypadku wola cesarza Francuzów, w drugim — wola „króla polskiego”, który pozostawał przedewszystkiem carem rosyjskim, w obu zaś wypadkach wpływ czynników obcych, raz francuskich, raz rosyjskich, niewycyli w dużej mierze dążność do zachowania tradycji polskiej, chociażby tak świeżej jak wspomniana majowa, i do zapewnienia ciągłości rozwoju, chociażby na uszczuplonym terytorjum.

Łączy się z tem, oczywiście, inna ujemna strona, a może nawet niebezpieczeństwo, stosowanego dotychczas porównania. Nie uszuwa ono bynajmniej dręczącej każdego Polaka wątpliwości, czy konstytucja 1791 r., która tak się chlubiłymi, nie była może poprostu czemś całkiem wyjątkowym w naszym dziejowym rozwoju, izolowanym faktem jednorazowym, przypadkową nieomal improwizacją, pozbawioną organicznego związku z całością naszego niepodległego bytu państwowego. Takie mniemanie mogłoby znaleźć mocne uzasadnienie w fakcie, że po analogie sięgamy do czasów, gdy nie było już wcale niepodległego państwa polskiego, a naród polski nie mógł sam swobodnie stanowić o swym losie. Mogłoby się wydawać, że choć należycie zrozumieć dzień 3 maja, trzeba go oderwać od całej przedrozbirowej przeszłości, od staropolskiego świata, a traktować jako wstęp do dziejów porzoborowych, które dopiero miały stworzyć Polskę naprawdę nowoczesną. A w takim razie ustawa majowa, która upadła za ledwo wszedłszy w życie, przestałaby służyć nam jako dowód naszych odwiecznych, rodzinnych zdolności państwowotwórczych, jako argument przeciwko usprawiedliwianiu rozbiórów wadami ustroju staropolskiego.

BLASKI I NEDZE USTROJU STAROPOLSKIEGO

Mimo stanowczych zastrzeżeń najlepszych znawców tego ustroju, pozostajemy ciągle jeszcze pod wrażeniem tego co nam o jego nieuleczalnych rzekomo brakach wmaiała przez dziesiątki lat wroga historjografia obca, poparta zresztą opinią niektórych wybitnych i zasłużonych skądinąd uczonych polskich. Toteż niedjednemu czytelnikowi zapewne bardzo się zdziwił, spostrzegłszy, że konstytucję 3 maja, największą naszą chlubę w dziedzinie ustrojowej, zaliczamy do pomników tego ustroju staropolskiego, którego przywykliśmy się wstydić i któremu zwykłe ją przeciwstawiamy. Łatwo jednak usunąć to nieporozumienie. Słusznie przeciwstawia się ustawę majową i całe w ogóle dzieło wielkiego sejmu temu co było bezpośrednio przedtem i czego nie mniej słusznie się wstydzimy. Ale ciemny obraz wstępny, od którego się zwykle rozpoczyna analizę dokonanej reformy; by tem lepiej uwydatnić jej znaczenie, odpowiada tylko jednemu z kolejnych etapów rozwojowych świata staropolskiego, ściślej mówiąc — chwilowemu zastojowi w jego ewolucji, który bezpośrednio poprzedził okres odrodzenia wewnętrznego za Stanisława Augusta.

Ten okres, który właśnie pod względem ustrojowego postępu w najszerszym znaczeniu, obejmującym całe życie społeczne, został tak gruntownie zrehabilitowany w świetle badań Tadeusza Korzona, można i trzeba nazwać okresem odrodzenia, ponieważ ówczesny rozkwit nie był bynajmniej czemś zupełnie nowym, pojawiającym się po raz pierwszy i jedyny w dziejach Polski przedrozbirowej. Poprzedzający ją okres upadku, aczkolwiek czasem zgola mylnie identyfikowany ze staropolszczyzną, uchodząca wskutek tego za symbol zafacania, był czemś zgola przejściowym, okresem w całym przebiegu naszych dziejów stosunkowo krótkim, a poprzedzonym skolei przez inną epokę świetności. Jest to powszechnie znane i uznawane, choć czasem zapomniane, jeśli chodzi o kulturę, która w naszym „wieku złotym” wyszła jeszcze osiągnięta szczyty aniżeli w drugiej połowie XVIII w. Toteż w tej dziedzinie, gdy mowa jest o kulturze staropolskiej, stosuje się to określenie bez wahania do bujnej twórczości w. XVI, która jest takim samym przedmiotem naszej dumy,

jak odrodzenie tej kultury w dobie rozbiórów. Już jednak mówiąc o staropolskim obyczajach, aż nazbyt często używa się tego przymiotnika w znaczeniu raczej ujemnym; myśli się bowiem głównie o drugiej połowie XVII i pierwszej XVIII w., o okresie obfitej oświeconym przez charakterystyczne źródła i szczegółowe opisy anizeli poprzednie, choć właściwie był okresem spazczenia i skostnienia obyczajów tak samo jak ustroju. A pojęcie ustroju staropolskiego jeszcze wyłącznie przynależno w opinii szerokiego ogółu, nie mówiąc nawet o cudzoziemcach, do czasów wybujałej szlachetczyzny i samowoli magnackiej, sejmów zrywanych przez liberum veto, „wolnych” elekcyj, dyktowanych przez obce bagnety i pieniądze, słowem — nierządu, na którym Rzeczpospolita tak długo stała, aż upadła.

Rzecz jasna, że w tych czasach, smutnych nie tylko pod względem ustrojowym, nie znajduje się żadnych pomników ustroju, któreby można zestawiać z konstytucją 3 maja. Nikt ich w ogóle szukać nie będzie w mrocznym stuleciu między wystąpieniami Sińskiego i Konarskiego, z których pierwsze oznacza chwilę ostatecznego spazczenia podstaw naszego życia publicznego, drugie natomiast, choć dokonane za króla Sasa, już zapowiada świt odrodzenia w reformach stanisławowskich, jak to zgodnie stwierdzili najlepszy u nas znawca, a surowy skądinąd sędzia tych przełomowych lat Władysław Konopczyński, oraz jedyny poważny obcy ich badacz William Rose. Ale właśnie te wyraźne daty graniczne świadczą jak krótkie było właściwie zahamowanie normalnego rozwoju, choć przygotowała je niewątpliwie pierwsza połowa XVII w., zaczynając od rokosa Zembrzydowskiego. Dalsze bowiem cofanie wstecz zarodków upadku wynika już z jednostronnej interpretacji takich wcześniejszych niedomagań i usterek, które w każdym ustroju wytknąć można, i takich nawoływani do reformy, które odzywają się w każdym okresie i w każdym społeczeństwie, stanowiąc tylko dowód jego zmysłu krytycznego i zdrowych ambicji. Ta interpretacja jednostronna, a nawet naciągana, tłumaczy się zrozumiałem wrażliwem późniejszej katastrofy rozbirowej, ale nie należy pod tym kątem widzenia oceniać całej przeszłości Polski, robiąc z niej jak gdyby wstęp do tego co się stało na schyłku XVIII w.

Wyzbywszy się tej pewnego rodzaju hipnozy, będącej źródłem nadmiernego pesymizmu w ocenie naszej przeszłości dziejowej w ogóle, a ustroju staropolskiego w szczególności, nie należy, oczywiście, wpadać w przeciwną ostateczność: w bezkrytyczne idealizowanie tej przeszłości a tem mniej tego ustroju, błąd, z którego wychodził mesjanizm polski przy swojej interpretacji katastrofy rozbirowej, do którego skłania się optymistyczny w historjografii polskiej kierunek, a któremu hołduje pewien odłam naszej publi-

cystyki, zwłaszcza przeznaczonej na użytek propagandowy.

Czas wielki, chociażby w obliczu nowej tragedji, jaką przeżywa nasz naród, a mogącej znowu nasuwać skrajne w swej przesadzie wnioski historjograficzne, zarzuć obie, równie jednostronne, i stać równie nienaukowe, tezy co do istoty dziejów polskich: zamiast wyznaczać Polsce rolę zgola wyjątkową, anormalną, a jedyną w rozwoju dziejowym ludzkości, czy to w zlem czy też w dobrem znaczeniu, zdajmy sobie sprawę z tego, że chociaż istotnie przeżywamy czasem zgola wyjątkowe przejścia, w dobie rozbiórów albo nawet dzisiaj, jesteśmy jednak, a zwłaszcza byliśmy, w długim przedrozbirowym okresie, narodem takim jak inne, z dodatkami i ujemnymi cechami, z pozytywnymi i negatywnymi rezultatami naszych poczyniń w dziedzinie ustrojowej tak jak w każdej innej. A normalne i naturalne jest również, jeżeli bez żadnych pretensyj mesjanistycznych czy też chwytów propagandowych, nie odbiegając od rzetelności i ścisłości naukowej, kierujemy nasz wzrok, zwłaszcza w ciężkich chwilach, ku temu co w przeszłości narodowej było wielkie i nowe, co było pozytywnym swego czasu dorobkiem, a stać się może pokrzepieniem w czasie obecnym i drogowskazem na przyszłość.

ANALOGJE W PRZESZŁOŚCI

Z takich niewątpliwie wychodząc założen, Polska porzoborowa odczyna takim kultem konstytucję majową, że z jej rocznicy uczyniła święto narodowe, służące zachowaniu w Polsce odrodzonej. I z takich samych względów zdrowa tradycja wskazywała oddawna na inne jeszcze chlubne dokonania ustrojowe staropolskiego świata, dalsze nam w czasie, stać mniej często rozpamiętywane, a tak różnorodne, że oczywiście nie wszystkie się nadają do porównywania z konstytucją 1791 r.

Trzeba przyznać zgóry, że nie znajdujemy na całej przestrzeni naszych dziejów żadnego faktu czy aktu, któryby był całkiem do niej podobny i pod względem formalnym nastroczal tak namacalnie możliwości porównawcze, jak te, które narzucała analogia z konstytucjami r. 1807 i r. 1815. Powód jest bardzo prosty. Nie znają bowiem owe dawniejsze stulecia, ani w Polsce ani gdzieindziej, konstytucji w nowoczesnym tego słowa znaczeniu: sam akt 3 maja nosi jeszcze urzędowy tytuł ustawy rządowej, aczkolwiek w jego tekście już pojawia się nazwa konstytucji w dzisiejszym znaczeniu. Przedtem nazwa ta, tak często, częściej niż gdzieindziej używana w naszym życiu publicznym i w księgach naszych praw, miała znaczenie całkiem inne, bez porównania skromniejsze. Oznaczała tylko jedną z wielu uchwał, jakie zapadały, nieraz w bardzo drobnych materjach, na licznych sejmach Rzeczypospolitej, od pierwszych sejmów w w. XV aż do ostatniego,

smutnej pamięci, sejmu 1793 r., już po upadku ustawy majowej. Długi szereg takich właśnie konstytucji uchwalili także sejm czteroletni, niezależnie od tej która stała się jego największą chlubą. Mogła się stać chlubą dzięki temu, że po raz pierwszy starała się objąć całość ustroju państwowego i społecznego. Czyż jednak dlatego, że przedtem takich syntez ustrojowych nie było wcale, nie wolno z nią zestawiać żadnego pomnika ustroju staropolskiego? Otóż co najmniej dwa z nich obejmowały tak rozległe dziedziny, miały w historii nie tylko ustroju, ale państwa i narodu tak przełomowe znaczenie, były wreszcie tak dodatkami, walnymi krokami naprzód, że na podobne porównanie kalkowie zasługują. Co więcej, różne z natury rzeczy od konstytucji majowej pod względem formalnym, są jej bliższe co do ducha i istoty, aniżeli konstytucje Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Toteż porównanie z tamtymi, lepiej aniżeli zestawienie z temi, wskazuje nam właściwe miejsce 3 maja w tysiącletnim rozwoju dziejów Polski i lepiej pozwala zrozumieć znaczenie tego dnia dla współczesnych i dla potomnych.

STATUTY KAZIMIERZOWSKIE...

Chcąc wykryć pierwszy z tych zabytków ustawodawczych, sięgniemy bądź do praw polskich, które p.n. „Volumina legum” ukazały się z inicjatywy Konarskiego w okresie reform ukończonych przez konstytucję majową, bądź do czysto naukowej jej publikacji „Starodawnych praw polskiego pomników”, przedsięwziętej w sto lat później przez naszą Akademię Umiejętności. Nie jest bowiem przypadkiem, że oba te zbiory rozpoczynają się od tekstu statutów Kazimierza Wielkiego. W żadnym z nich nie znajdujemy jeszcze tekstu kalkowiec odpowiadającego dzisiejszym wymaganiom krytyki naukowej, wyjątkowo trudnej w stosunku do tego właśnie zabytku źródełowego; takie wydanie ukazało się dopiero w ostatnich latach, dzięki żmudnym badaniom Bolesława Ulanowskiego i Kutrzeby. Ale niezależnie od wszystkich kwestji spornych, związanych z samym charakterem statutów, do czego też jeszcze wypadnie powrócić, tradycja narodowa wszystkich stuleci zdawała sobie doskonale sprawę z wyjątkowego, przełomowego znaczenia tego właśnie pomnika ustroju staropolskiego. Wszak o nim właśnie rozpoczęły rewizję ustawodawstwa polskiego pamiętne sejmy egzekucyjne złotego wieku, przystępując do przeglądania dawnych praw „od deszczki do deszczki”. A w dobie reform ustrojowych za Stanisława Augusta, podjęto znowu z inicjatywą kanclerza Andrzeja Zamoyńskiego, aczkolwiek niestety bezskutecznie, wielką myśl kodyfikacji prawa polskiego, której po pierwszej, tak wczesnej stosunkowo realizacji za ostatniego Piasta nie potrafiło już urzeczywistnić żadne z następnych pokoleń, choć niejedno, aż do ostatniego w Polsce przedrozbirowej, dobrze rozumiało jej potrzebę.

...I UNJA LUBELSKA

Nie obchodziliśmy nigdy rocznicy statutów kazimierzowskich, bo sporna, a właściwie nieznana pozostała nawet data ich ostatecznego wydania w tej czy innej redakcji, a praca nad nimi wypełniła większą ilość rządów wielkiego króla, zapewne całe dwudziestolecie, jeśli nie więcej.

Święciliśmy natomiast, zwłaszcza w smutnych czasach porzoborowych, a potem w pierwszym zaraz roku odzyskanej niepodległości, głównie przynajmniej rocznicę 1 lipca 1569 r., daty innego, nie mniej pamiętnego i przełomowego pomnika ustroju staropolskiego, mianowicie unji lubelskiej. Mimo bowiem spornej podziś dzień oceny niektórych postanowień tego aktu, i on również zawsze był uznawany jako jeden z momentów szczytowych naszej ewolucji ustrojowej, przypadającej — rzecz znaną — na pełnię złotego wieku staropolskiej kultury. I jego również wspomnienie, o dwieście lat bliższe od ustawodawstwa Kazimierza Wielkiego, było szczególnie żywe w czasie prac przygotowawczych do wielkiej reformy 1791 r. Wszak za ledwo kilka miesięcy przed 3 maja podpisane zostało „zarczenie wzajemne obojga narodów”, odnawiające jak gdyby unję lubelską, a zarazem, po raz pierwszy od przeszło dwustu lat, uzupełniające ją przez dalsze zacieśnienie stosunku między Koroną a Wielkim Księstwem.

TRZY ZAMKNIĘCIA TRZECH OKRESÓW

Rzecz jasna, że ani statuty, ani unia nie były konstytucją w pełnym nowoczesnym znaczeniu, nieznanem, jak już zaznaczono wyżej, owym odległym wiekom. Ale oba te zabytki ustroju staropolskiego normaly tak rozległe jego dziedziny, w danej

chwili bezwarunkowo najważniejsze, że porównanie ich z ustawą 3 maja, która przecież również nie obejmowała wszystkich możliwych zagadnień ustrojowych, wcale nie będzie rzeczą zbyt śmiałą. Przeciwnie, szczegółowe przeprowadzenie tego porównania, o które — rzecz dziwna — nigdy się dotąd nie pokuszono, przekona nas, że godnie stojąc obok siebie, te trzy tak różne napozór pomniki mają ze sobą o wiele więcej wspólnego, aniżeli się wydawać mogło na pierwszy rzut oka. Nadto ich cechy wspólne okazały się wyraźne charakterystyczne dla całości naszej tradycji ustrojowej i streszczają znakomicie jej pozytywne walory. A pozostaje to znowu w ścisłym związku z faktem, że w ewolucji ustroju staropolskiego zajmują one analogiczne miejsca, znacząc jak gdyby jej główne etapy. Stąd porównanie nasze zacząć wypada od krótkich uwag o podziale naszych dziejów ustrojowych na okresy chronologiczne. Niestety, to zagadnienie, bardzo zasadnicze, nie zostało zgodnie rozwiązane przez historyków ustroju Polski, a sporna pozostaje również kwestja podziału naszych dziejów politycznych. Właśnie jednak ponieważ obie te sprawy trudno traktować odrębnie a trafny podział na okresy powinien odpowiadać zarówno ustrojowej jak politycznej historii, pogląd Kutrzeby, według którego główne w naszych porzoborowych dziejach przemiany ustrojowe nastąpiły po pierwszym siedemdziesiątciu XIV i XVI w., wydaje się najsluszniejszy. Dochodzimy bowiem w ten sposób do podziału chronologicznego, który zachowuje tradycyjne przekonanie o jednolitości państwowego i jagiellońskiego okresu. Skoro zaś przyjmujemy ten podział, który w najwłaściwszy sposób grupuje zjawiska naszego wewnętrznego i zewnętrznego rozwoju, spostrzeżemy odrazu, że statuty kazimierzowskie i unja lubelska stoją u schyłku dwóch podstawowych okresów i zamykają je w sposób wielce wymowny.

Pozostaje jednak do wyjaśnienia, czy coś podobnego da się powiedzieć także o konstytucji 3 maja. Słusznie, oczywiście, wszystkie podziały historii ustroju Polski uważają ją za zamknięcie okresu reform za Stanisława Augusta. Mniej słuszne wydaje się nam natomiast, że te podziały zgodnie wyodrębniają to trzydziestolecie i przeciwstawiają je, jako okres równorzędny, poprzednim, parowiekowym etapom rozwojowym. Bepośrednio wcześniejszy, t.j.w. okres rzeczywistej szlacheckiej, albo — według dawniejszej, nieścisłej terminologii — okres królów elekcyjnych, pozostawałby w ten sposób bez zakończenia, a tamten krótki okres końcowy — bez organicznego związku z przeszłością. Prawda, że został sztucznie przerywany przez katastrofę obu ostatnich rozbiórów, nie pozwalającą przewidywać, jakby się potoczył dalszy rozwój w normalnych swobodnych warunkach. Ale w świetle tego co się istotnie stało, reformy z końca XVIII w., wraz z konstytucją majową, przedstawiają się nie tyle jako początek czegoś całkiem nowego, ani tem mniej jako coś całkiem oderwanego i zamkniętego w sobie, ile jako naturalne zamknięcie i doprowadzenie okresu poprzedniego, sięgającego początkiem swym ostatniego trzydziestolecia w. XVI.

Takie postawienie kwestji tylko wtedy będzie się wydawało wątpliwe, może nawet paradoksalne, jeżeli zwrócimy wyłączną uwagę na istotnie jaskrawą różnicę między chwilowym zastojem spaczonych form ustrojowych Rzeczypospolitej szlacheckiej a wyjątkowym, przyspieszonym wysiłkiem twórczym końcowych reform. Ale, jak już zaznaczyliśmy wyżej, lata zastoju nie wyczerpują całego okresu poprzedniego. Zaczął on się również od twórczego wysiłku, przyspieszonego — może nawet z nadto — w kryzysie pierwszych bezkrólów, po wygaśnięciu Jagiellonów, kontynuowanego za króla Stefana, a wyrażającego się jeszcze w kilkakrotnych, choć niestety, daremnych, próbach i projektach reform za Wazów, które zmierzały w całkiem podobnym kierunku co reformy dokonane za Poniatowskich. Głosy, które się takich reform domagały, nigdy zresztą nie umilkły całkowicie, jak o tem świadczą chociażby głos Leszczyńskiego, aż doczekały się wreszcie realizacji. Była ona urzeczywistnieniem idei, która przyswiewala, choć wielokrotnie fałszywie interpretowana, całemu przeszło dwuwiekowemu okresowi dziejowemu: idei pogodzenia polskich tradycji i aspiracji wolnościowych z koniecznością wzmożenia organizmu państwowego. Wiadomo, że przeto pierwsze z tych pierwiastków, główne — obok zachwiania równowagi społecznej — źródło naszych niedomagań ustrojowych, widoczny był od samego początku okresu. Ze jednak troska o drugi nie była obca ówczesnym twórcom Rzeczypospolitej szlacheckiej, o tem dobrze

*) Podtytuły pochodzą od redakcji „Wiadomości Polskich”.

pamiętali najradzykalniejsi nawet reformatorowie doby końcowej. Niedarmo Staszyc swój program reformy, dalej sięgający od tego co przeprowadziła ustawa majowa, ujął w przededniu wielkiego sejmiku w formie uwag o życiu Jana Zamojskiego. Najlepszy to chyba dowód, że powiązanie konstytucji 1791 r. z genezą „wspólnej Rzeczypospolitej”, stworzonej na gruncie aktów unii lubelskiej, nie jest sztucznym naciąganiem rzeczywistości historycznej, lecz ujęciem zgodnym ze świadomością i przekonaniem twórców ustawy.

SYNTEZA STAROPOLSKIEGO DOROBKU USTROJOWEGO

W każdym z trzech porównywanych wypadków charakterystyczny pomnik ustroju staropolskiego, przekazany nam przez ostatnie pokolenie danego okresu, obejmował te zagadnienia, które w życiu wewnętrznym tego okresu wysunęły się na pierwszy plan. Za Piastów najważniejsze było oprócz miłego stosunkowo organizm państwowy na mocnych podstawach praworządności i utrwalenie scalenia jego dzielnic przez ujęcie ich życia codziennego w identyczne lub przynajmniej analogiczne formy. Stąd kodyfikacja prawa była najcenniejszą puścizną odbudowanego z takim trudem Królestwa Polskiego. Za Jagiellonów najpilniejszą potrzebą było unormowanie wzajemnego stosunku tych części składowych, których połączenie tak niezmierne rozszerzyło ramy naszych dziejów. Stąd ostateczne akty unii były testamentem nie tylko Zygmunta Augusta ale całej epoki. W tym i w tamtym wypadku poruszone zostały sprawy, które wybiegały poza ścisły zakres bądź kodeksu polsko-litewskiego. Dość przypomnieć znaczenie statutów Kazimierzowych dla krystalizacji ustroju społecznego, zwłaszcza stanu szlacheckiego i jego uprawnień, i dla organizacji wojskowości, oraz znaczenie unii lubelskiej dla ugruntowania zasady wolnej elekcji i dla ustalenia składu sejmiku walnego, a nawet dla rozwoju naszego parlamentaryzmu w ogóle. Jeśli wobec tego oba te zabytki, napórzący do konstytucji w istocie rzeczy do konstytucji w nowoczesnym znaczeniu, to natomiast konstytucja majowa, mimo swojego niezaprzeczonego charakteru ustawy reformującej całość ustroju, nie wyczerpuje przecież wszystkich możliwych zagadnień ustrojowych, nie powraca np. ani do próby nowej kodyfikacji prawa, choć ją uznaje za pożądaną, ani do stosunku między Koroną a Wielkim Księstwem, niedawno ustalonego w osobnym akcie, a niejedną sprawą bardzo istotną, chociażby np. własności, lekko tylko porusza. Zato załatwia to co oddawna odczuwano jako najpilniejsze w danej chwili: wzmacnienie stanowiska królów i władzy wykonawczej, usprawnienie władzy ustawodawczej oraz pierwsze ograniczenie wyłączności szlacheckiej w ustroju społecznym. Tem bardziej zrozumiałe się staje zestawienie trzech napórzących do konstytucji, które oceniane z perspektywy wieków wzajemnie się uzupełniają, tak że właśnie razem wzięte składają się na syntezę staropolskiego dorobku ustrojowego.

Mimo sztucznej, gwałtownej przerwy w rozwoju ustrojowym Polski, która nastąpiła tak rychło po dn. 3 maja, — a może też właśnie dlatego, — akt wydany pod jego datą stał się tak samo jak oba poprzednie, w szczęśliwszych warunkach uchwalone, puścizną całego trzeciego okresu naszych przedrozbiorowych dziejów, puścizną, której wielkie, niezaprzeczone walory odkupywały błędy i niedomagania poprzednich dziesiątek lat. Stąd konstytucję 1791 r. opromieniała — zresztą najslusniejsza — aureola zasłaniająca nam jej oczywiste, nierzadkie niedostatki własne. Oprócz wspomnianej już nadmiernej wstrętności w sprawie własności, wystarczy wskazać niepomiarne swego rodzaju konserwatyzm, z jakim dziedzinę odtąd tron królewski przeznaczała dynastia saskiej. Łatwiej jeszcze wytknąć słabe strony ustawodawstwa kazimierzowskiego a nawet unii lubelskiej. Wszak co do pierwszego, to po długich na ten temat dyskusjach naukowych wydaje się niestety pewne, że jasno sformułowany zamiar królewski, by w całym państwie między tylko wspólne obowiązki prawo, pozostał jedynie dezyderatem, a skończyło się na wydaniu osobnych statutów dla Wielkopolski i dla Małopolski. A co do roku 1569, to zarzut że ówczesne akty nie stworzyły całkiem jednolitego państwa, zarzut najczęstszy i

aż po ostatnie czasy stawiany, da się łatwiej odprzeżyć, aniżeli inne dotyczące połowicznego rozwiązania sprawy ruskiej, a zwłaszcza sprawy Ukrainy w ścisłym tego słowa znaczeniu.

MĄDRY UMIAR

Ale właśnie stwierdzenie, zrozumiałych zresztą, słabych stron, jakie wszystkie trzy wielkie pomniki ustrojowe wykazywały obok swoich ogromnych pozytywnych walorów, naprowadza nas na jedną z ich najistotniejszych cech wspólnych, — tem ważniejszą, że naprawdę charakterystyczną dla staropolskiej ewolucji ustrojowej w ogóle. A powiedzmy zgóry, że jest to cecha dodatnia, tłumacząca i usprawiedliwiająca zarazem ich usterki. Oto bowiem wszystkie te trzy reformy, aczkolwiek przełomowe, dokonane zostały bez przewrotu rewolucyjnego, zwykle towarzyszącego podobnie głębokim reformom w innych państwach; były rezultatem dłuższej lub krótszej ewolucji, której ostateczny, daleko sięgający rezultat nie został osiągnięty drogą gwałtu, lecz na legalnej drodze porozumienia i wzajemnych ustępstw zainteresowanych stron. Możliwie daleko idące poszanowanie tradycji, czynnika, który w naszych dziejach zawsze odgrywała rolę wyjątkowo doniosłą, nadaje pewne wspólne, swoiste piętno trzem rozpatrywanym tutaj wydarzeniom, chociaż w szczegółach zachodzą i pod tym względem pewne różnice.

Mądry umiar — bo o to właśnie chodzi przedewszystkiem — uderza bezspornie w całość polityce zewnętrznej i wewnętrznej Kazimierza Wielkiego. Utwierdzenie jednolitego królestwa polskiego oraz ładu i porządku w jego mocno obwarowanych granicach było głównym celem króla; temu celowi służyła cała jego praca ustawodawcza. Nie brakło mu przytem energii w walce czy to z pospolitymi rozbójcami, od czego zaczął rząd, czy też z buntowniczymi objawami partykularyzmu dzielnicowego, jak zwłaszcza konfederacja Maćka Borkowica. Ale mądry monarcha, szanujący odrębne właściwości ziemi łwowskiej, którą sześć lat temu z Polską połączył, nigdy nie dążył do swego celu przez jakąś rewolucję zgóry, przez narzucenie centralizacji czy też przez sztuczne zaszczepianie dowolnych nowości. Badania nad jego statutami wykazały, w jak dużym stopniu były one prostopu systematyczną kodyfikacją prawa zwyczajowego, a przy ich porównaniu z obcymi pomnikami ustawodawstwa średniowiecznego, uderza ich duch humanitarny i łagodność przewidzianych kar. A nawet tego kodeksu nie zaprowadził za jednym zamachem; przygotował powoli całkowitą unifikację zwyczajów prawnych, ograniczył się do ich unormowania w każdej z dwóch głównych połaci odrodzonego państwa, tak niedawno jeszcze rozbitego na szereg księstw dzielnicowych. Nie przewyższył całkowicie antagonizmu między Wielkopolską a Małopolską, których rywalizacja, tkwiąca w tradycji piastowskiej, występować miała jeszcze tylekroć w czasach jagiellońskich. Ale może właśnie dlatego nie doszło nigdy, nawet w krytycznych pod tym względem czasach andegawskich, do otwartej walki, do wojny domowej między Wielkopolanami a Małopolanami, których potomkowie zapomnieli nawet o tem, że statuty Kazimierzowe, uważane później za jedną całość, stanowiły właśnie dwa odrębne zwody, uwzględniające właściwości i potrzeby każdej dzielnicy. Ze wogóle całe to ustawodawstwo, długo przygotowywane, przyjęło się niezwykle szybko i przetrwało jako jedyne w dziejach naszych, tłumaczy się właśnie tem, że było ujęciem ujęciem rezultatu ewolucji poprzednich wieków, przeprowadzonym z zgodą tych, którzy tego prawa mieli przestrzegać.

O ile co do statutów jest to rzecz bezsporna, o tyle unia lubelska stale była przedstawiana przez historjografię obcą, nawet niezainteresowaną bezpośrednio, jako rezultat przymusu ze strony polskiej. Że tak nie było, tego najlepszym dowodem jest charakter kompromisowej jej postanowienia, którym sprzeciwiała się istotnie silna, choć bardzo nieliczna grupa magnatów litewskich, ale które też odbiegały daleko od inkorporacyjnych zamiarów skrajnego obozu w polskiej izbie poselskiej. A główne zarysy kompromisu z r. 1569 zostały wytknięte siedem lat przedtem w postulatach ogromnej większości Litwinów. Ewolucja przygotowawcza trwała w tym wypadku od układu 1385 r.: jedyna próba przyspieszenia jej siłą w burzliwych latach po śmierci Witolda, nie dopro-

wadziła do celu. Przez przeszło sto lat, wyjąwszy tylko ugodowe, lecz nieudane właściwie próby na przełomie XVI i XVII w., nie pokuszono się o żadne zasadnicze zmiany w ustroju federacji jagiellońskiej, a przyspieszenie reformy przez Zygmunta Augusta, w obliczu zewnętrznego niebezpieczeństwa i w przededniu wygaśnięcia dynastji, odbyło się według wypróbowanych, cierpliwych i łagodnych metod tego rodu. Co więcej, nawet to stronnictwo, które w sprawie unii, jak w szeregu innych, najradzykalniej dążyło do daleko idących reform, ujmowało swój program pod hasłem egzekucji praw dotychczasowych, co jest chyba szczególnie charakterystyczne dla zasady poszanowania tradycji, nawet w toku wyjątkowej, nieraz gorączkowej pracy nad ulepszeniem ustroju państwowego od samych podstaw. Mimo niektórych chwil zniecierpliwienia wśród stronnictwa egzekucyjnego, wszystkie jego zdobycze, z ugruntowaniem unii na czele, uzyskane zostały drogą dyskusji i obrad sejmowych, które przecież jeszcze na sejmie lubelskim potrwaly pół roku. Znowu zaś można powiedzieć, że właśnie dlatego akty unii z dn. 1 lipca, poprzedzone przez tyle innych, oparte na tak długim i różnorodnym doświadczeniu, stały się dojrzałą realizacją idei jagiellońskiej, która przetrwała jagiellońskie czasy, aż do rozbioru wspólnej Rzeczypospolitej.

Reforma Rzeczypospolitej między pierwszym a drugim rozbiorem dokonała się równocześnie z wielką rewolucją francuską i nie bez wpływu jej doktryn, zwłaszcza w dziedzinie społecznej. Ale pomijając nawet całkiem różny kierunek obu tych rewolucji, o ile chodzi o ustrój polityczny, historyka przedewszystkiem uderza zupełna różnica metod. Tylko obłuda mocarstw rozbiorczych mogła mówić o niebezpiecznym jakobinizmie nie tylko w Paryżu, ale i w Warszawie. Prawda, że znakomity historyk amerykański drugiego rozbioru R. H. Lord, który tę obłudę tak trafnie napiętnował, sam pisze o „rewolucji 3 maja”. Że jednak to określenie, używane od czasu do czasu, nie jest szczęśliwe, o tem świadczy jego własne, doskonale ujęcie wypadków, a zwłaszcza treści samej konstytucji. Od wszelkiego rodzaju rewolucjonistów, twórcy jej różni się już chociażby przez to, że nie walczył o żadne prawa czy swobody dla samych siebie, lecz przeciwnie, zrzekając się znacznej części tych przywilejów i wolności, z których przedtem korzystali, dopuszczając do nich dobrowolnie innych i sami na siebie nakładając ofiary dla dobra powszechnego. Nie jest też rewolucyjny ich program, skoro podjęli hasło oddawna głoszone przez literaturę polityczną całego okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej, nie tylko w przededniu samych reform stanisławowskich, lecz od XVI w., a zwłaszcza od pamiętnych kazań sejmowych Skargi. Znowu też realizacja słusznych zasad nastąpiła w wyniku długich obrad szeregu sejmów. Na pierwszych sejmach za Poniatowskiego paraliżowała je przedewszystkiem przemoc zewnętrzna. Opozycja ze strony polskiej malała tak dalece, że w r. 1791 stanęła już tylko znikoma mniejszość. Nawet jednak wobec takiej mniejszości obstrukcyjnej, zwolennicy nowej konstytucji nie zastosowali żadnych środków gwałtowności, a nawet faktury zaskoczenia parlamentarnego, przyspieszenie toku obrad i uchwał, chyba całkiem uzasadnione wobec tak długich już dyskusji i nagłych potrzeb chwili. Rozpatrywana w swej całości ewolucja ustrojowa okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej nie przedstawia się oczywiście jako nieprzerwana, harmonijna linia rozwoju. Ale tylekroć nam wspomniany wiek zastój — powiedzmy nawet: zacofanie i paczenia ustroju — da się porównać z wiekiem rozbięcia dzielnicowego, dzielącym dwa etapy budowania królestwa polskiego za Piastów, a ponieważ nawet ze stuleciem przerwy w umacnianiu unii polsko-litewskiej za Jagiellonów. Wynik końcowy był i w tym trzecim wypadku syntezą rozwoju, w którym pozytywne pierwiastki twórcze zatrzymowały bez rewolucyjnego gwałtu nad czynnikami rozstroju i bierności.

KRÓL Z NARODEM, NARÓD Z KRÓLEM

Nasuwa się oczywiście pytanie, komu to mamy do zawdzięczenia we wszystkich trzech wypadkach, innymi słowy: kto był twórcą najznakomitszych pomników ustroju staropolskiego. I tu właśnie dostrzegamy znowu uderzającą analogię, która nie tylko raz jeszcze uzasad-

nia ich zestawienie, ale zarazem rzuca znajomemu światło na ich istotę. Co do konstytucji 3 maja, tradycja oddawna dostarczała krótkiej a wymownej odpowiedzi: król z narodem, naród z królem. Odtąd to samo można powiedzieć o statutach kazimierzowskich i o unii lubelskiej. Żaden z głównych zabytków naszej przeszłości ustrojowej nie był ani rezultatem obcych wpływów, ani przypadkowym tworem wybitnej, ale odosobnionej jednostki lub grupy. Wszystkie powstały przez normalną współpracę prawowitych głow państwa z prawowitymi przedstawicielami narodu, oczywiście, z jego elitą, taką jednak, która naprawdę wyrażała potrzeby i aspiracje ogółu, tak jak one wyrosły na gruncie doświadczeń narodowych.

Co do przewodnił król króla, w żadnym wypadku nie może ona ulegać wątpliwości. Statuty noszą nie tylko nazwę Kazimierza, ale piętno osobistej inicjatywy i pieczęć, którego są jednym z głównych tytułów wielkości. Są ogniem, które spaja wszechstronną działalność budowniczego Polski murowanej, fundatora uniwersytetu krakowskiego, króla chłopów. Rola jego jako ustawodawcy, zgodna z wybitnymi cechami jego osobistości, powszechnie uznawanymi przez całą historjografię, jest zarazem całkiem zgodna z rolą i stanowiskiem prawnym monarchy doby piastowskiej, nie ograniczonej jeszcze przez przywileje stanowe i instytucje parlamentarne. Ani tego ani tamtego nie można powiedzieć o Zygmuncie Augustcie, któremu historjografia dawniejsza tyle stawiała zarzutów, związanych z rzekomo słabością i chwiejnością charakteru króla-dziurka, a którego rządy przypadają już na czasy, kiedy rzekomo władza królewska tyle straciła z dawnego autorytetu, że to zapowiadało przyszły upadek państwa. To i tamto mniemanie obalają najnowsze badania nad ostatnim z Jagiellonów, zwłaszcza Ludwika Kolankowskiego, a jeśli chodzi o unję, której sprawa dopiero wtedy posunęła się naprzód, gdy ją poparł stanowczo i wziął w swe ręce sam król, wystarczy właściwie przeczytać szczegółowe diarjusze sejmiku lubelskiego, pełne osobistych wystąpień i wspaniałych przemówień Zygmunta Augusta, by się przekonać o jego decydującym wpływie na genezę aktów z dn. 1 lipca 1569 r. A Stanisław August? Nikt oczywiście nie będzie go stawiał obok ostatniego Piasta i ostatniego Jagiellona, ale spór o rolę dziejową ostatniego wogóle króla polskiego, spór, który tak niedawno rozgorzał nanowu w związku ze sprawą pochowania jego szczątków sprowadzonych do kraju, uwydatnił niebicie konieczność rozróżnienia między jego ciężkimi błędami, lub wręcz grzechami politycznymi, a zasługami, jakie sobie zdobył przez popieranie odrodzenia narodowego, dokonanego za jego rządów. Okazało się nadto, że nawet wtedy gdy władza królewska w Polsce spadała do zera, grzebiąc nawet poszanowanie królewskiego majestatu, faktycznie jednak osoba królewska znać była bardzo wiele, zarówno w sensie negatywnym, czego dowodem Sasi, jak i pod względem pozytywnym. A pozytywną rolę Poniatowskiego właśnie przy pracy nad konstytucją 3 maja aż do ustalenia jej tekstu włącznie, odstłonił dopiero w całej pełni żmudne poszukiwania archiwalne, umiar sądu i świetna intuicja tego z naszych uczonych, którego niepożytnym zasługom na tem polu oddaliśmy już hold na początku tych uwag: Dembińskiego.

Sprawa głównych współpracowników królewskich nie przedstawia się całkiem jednakowo w trzech porównywanych tu chwilach dziejowych. Celował w ich umiętnym doborze Kazimierz Wielki i niewątpliwie miał za sobą olbrzymią większość narodu, ale stosunkowo ubóstwo i lakoniczność źródeł utrudnia uzasadnienie tego ogólnego wniosku przy badaniu poszczególnych kwestji. Mimo to, jeżeli chodzi o ustawodawstwo, przynajmniej dwa głośne nazwiska świadczą o tem, że król korzystał z pomocy i współpracy tych przewodników umysłowych narodu, których najwięcej było wówczas w wyższym duchowieństwie, a których gromadził w swojej kancelarii, tak świetnie zorganizowanej i pomocnej przy scalaniu państwa. Jarosław Bogoria ze Skotnik, a zwłaszcza jego synowie a zarazem późniejsi następcy na gnieźnieńskiej stolicy arcybiskupiej Janusz Suchywilk, wyraźnie zajmują pierwsze miejsce wśród tych wybitnych jednostek, dzięki którym Polacy owego odległego stulecia, kiedy to dojrzała ich narodowa świadomość i kultura, uczestniczyli w wysiłku twórczym swego

wielkiego króla.

Zygmunt August mało miał zaufanych powierników, a wybitny indywidualizm renesansowy łączył się u niego z zamkniętością, dochodzącą czasem do skrytości. Zawsze jednak umiał wyrażać w swem otoczeniu talenty dyplomatyczne, utrzymywał żywy kontakt z prądami umysłowymi, nurtującymi w ówczesnej Polsce, a odskąd szczerze stanął do współpracy ze stronnictwem egzekucyjnym, miarkując jego zapędy, kształtował razem z jego przywódcami dzieło naprawy Rzeczypospolitej. Rzecz ciekawa jednak, że i teraz, zwłaszcza gdy chodzi o unję lubelską, głównych współpracowników królewskich, co więcej — niewątpliwych redaktorów aktów unii, znajdujemy wśród dostojników duchownych, politycznie wyrobionych przez służbę w kancelarii koronnej. I znowu dwa nazwiska wysuwają się bezspornie na pierwszy plan: biskup krakowski Filip Padniewski, a zwłaszcza ówczesny podkanclerz, a później następca na tem ważnym biskupstwie Franciszek Krasinski. Nie zapominamy jednak że tym razem przełomowy akt ustawodawczy nosi podpisy wszystkich senatorów i posłów sejmowych Korony i Wielkiego Księstwa, z których bardzo wielu, jak świadczą diarjusze i korespondencja prywatna, byli cześciej więcej niż wiernymi świadkami dokumentów, uwierzytelnionych ich pieczęciami.

Co do Stanisława Augusta, to naogół miał niewątpliwie więcej przeciwników wśród własnego narodu, niż współpracowników, którzyby mu byli tak oddani jak literaci lub artyści gromadzeni na jego dworze. Ale rzecz znamienna, że dzieło wielkiej reformy ustrojowej udało się dopiero wtedy, gdy zgodnie stanęli do niego zarówno król jak i to stronnictwo, którego słuszy zwaną patriotycznem, do ostatniej niemal chwili, jeszcze na początku sejmiku czteroletniego oddzielone od Poniatowskich sprzecznnością poglądów na politykę zagraniczną, aż wreszcie zrozumiały skądinąd uprzedzenia wzajemne ustąpiły dla dobra sprawy. Łatwiej było wymienić tutaj liczne nazwiska pisarzy politycznych i działaczy sejmowych, którzy torowali drogę konstytucji majowej i dłużej od króla przy niej wytrwali. Ograniczmy się znowu do dwóch nazwisk: wszak pominąć nie można ani marszałka sejmiku Małachowskiego, ani też zaszkalca Ignacego Potockiego. Niezależnie od ich zasług czysto osobistych, godność tamtego symbolizuje jak gdyby stanowisko sejmiku jako całości, a nazwisko tego dowodzi, że nieliczne jednostki opozycyjne, późniejsi targowiczanie nawet, nie reprezentowali całych swoich rodzin. Naród wypowiedział się naprawdę za aktem, który tak uroczyście zaprzysiągł jego król, a w przeciwnieństwie do niego, przysięgi dotrzymał nie tylko w większości ówczesnego pokolenia, lecz także w następnych, aż po dzień dzisiejszy.

KONSTYTUCJA MAJOWA JAKO PUŚCIZNA WIEKÓW

Dzisiaj, gdy minęło lat 150 od uchwalenia konstytucji, warto chyba uświadomić sobie wreszcie także długo zatarty jej związek z całą przeszłością dawniejszą. Wielka chwila, której pamięci nie przestajeśmy obchodzić w dobrej i złej woli, nie była na szczęście jedynym w swoim rodzaju wyjątkiem w rozwoju dawnej Rzeczypospolitej. Walory niezaprzeczone inne, ale jakże pokrewne, a w każdym razie nie mniej wysokie, napotykały w ciągu wieków i w tej również dziedzinie życia staropolskiego, której zwykłe pod wpływem obecnej przeważnie myśli, gotowi jesteśmy potępiać niemal bez zastrzeżeń. W naszym ustroju nie spotykamy ich w każdym pokoleniu, to prawda. Ale jaśnieja one na przełomach wszystkich wielkich epok, jakie oddawna przywykliśmy rozróżniać w naszych przedrozbiorowych dziejach, tzn. w naszych dziejach normalnych i wolnych. Konstytucja 3 maja, ograniczona związana zarówno z ostatnią tych epok, którą tak godnie zamyka, jak i z dorobkiem ustrojowym epok poprzednich, ukazuje się nam jako puścizna całego staropolskiego świata i jako wyraz tych wszystkich kierunków myśli, które poprzez stulecia były w nim twórcze i zdrowe, wymagające tylko ciągłej ewolucji i dostosowania do coraz to nowych warunków w Polsce i w Europie.

Świeć obchód tegoroczny wielkiej konstytucji, bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy tego tchnienia optymizmu i wiary, które rodzi się z takiego ujęcia sprawy. Bardziej nawet niż w roku ubiegłym, gdy

obchodziliśmy nasze święto majowe po raz pierwszy bezpośrednio po katastrofie wrześniowej roku poprzedniego. Już wtedy mogliśmy to czynić swobodnie tylko na emigracji. Niechaj wolno będzie autorowi tych uwag przypomnieć na zakończenie, że po raz pierwszy sformułował je właśnie wtedy, na obczyźnie, a jednak w miejscu dziwnie sposobnym, tak polskiem z ducha, wspomnień i atmosfery całego otoczenia, że zapomniało się niemal, jak daleko się już wtedy było od Kraju.

Było to w wielkiej, stylowo odnowionej sali Biblioteki Polskiej w Paryżu, gdzie rocznicę trzeciego maja stale obchodzono szczególnie uroczystość w związku z rocznym sprawozdaniem tej jedynej w swym rodzaju instytucji, która sama obchodziła niedawno swoją setną rocznicę. Z okien, poza mostem św. Genowefy i zdobnącą go rzeźbą artysty polskiego pochodzenia, widać było najczystsze zabytki Paryża, katedrę Panny Marii, przypominającą nam katedry rodzinne, poświęcone Królowej Korony Polskiej, wzgórze Sorbony, na której wzór królowa Jadwiga odnawiała uniwersytet Kazimierza Wielkiego, i tyle innych pamiątek, których ta nawpół polska wyspa św. Ludwika z niedalekim Hôtel Lambert była jak gdyby ośrodkiem. Przypomina się oczywiście Adam Czartoryski, ten nasz król niekoronowany, z rodu, który Zygmunt August na sejmie unii lubelskiej uznał za braci Jagiellonów, bliski krewny Stanisława Augusta, wraz z którym na ustanowienie i upadek konstytucji 1791 r. patrzył własnymi oczami. A przypomina się również drugi Adam, książę w dziedzinie myśli, którego pamiątki były zgromadzone w sali sąsiedniej, którego syna niedługo z nas widywał wśród szaf bibliotecznych a którego duch był w tym gmachu tak wiecznie żywy, że z szarych kątów zdawały się doliwać, wraz z muzyką Jankiela, słowa z rocznicą majową na zawsze związane: „Wiwat król, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!”

Zabrakło wówczas czasu, żeby spisać te i inne, nasuwające się w owym nastroju refleksje. Wszak już po tygodniu rozpo- czął się najazd na Francję, a po miesiącu, już pod wrażeniem nieodwołalnej klęski ostatnie się odbyło w sali Biblioteki Polskiej polskie zebranie. Najcenniejsze jej pamiątki były już wtedy ukryte w bezpiecznych miejscach, ale ze zgrozą myśli się o tem, że niebawem te nawet zagraniczną placówkę polską, wraz ze wszystkim co się przedtem wywieźć nie dało, zajął i rozgrabił okrutny wróg, który ją oddawna zaszczepił szczególną nienawiścią za to, że szereżyła wiedzę o Polsce wśród zaprzysiężonego narodu. Naród ten doznał tragedji, podobnej do naszej własnej i przez wszystkich Polaków głęboko odczuć. My zaś, obchodząc dzień 3 maja po raz drugi na emigracji, jak w roku ubiegłym dręczeni myślą o tem co się dzieje na ziemi polskiej, sami jesteśmy jeszcze bardziej od niej oddaleni, jeszcze bardziej po świecie rozproszeni. Te słowa, pisane w Ameryce, mają się ukazać w Londynie...

Toteż bardziej niż kiedykolwiek musimy się skupić około wspomnień wielkiej przeszłości, ale też bardziej niż kiedykolwiek trzeba powiązać rok 1791 z całą tysiącletnią tradycją polską, aby wykaazać nie tylko możliwość chwilowych, wyjątkowych osiągnięć, ale przedewszystkiem ciągłość naszego rozwoju państwowego, który jak rozwój każdego innego państwa mógł być chwilowo zahamowany, ale nigdy całkowicie przerwany. Nawet rozpatrywana z osobna, ustawa majowa była i jest świetną rehabilitacją ustroju staropolskiego, ale dopiero w zestawieniu z nie mniej świetnymi pomnikami ustrojowymi, wcześniejszemi od niej o przeszło dwieście lat czteryście lat, ukazując się we właściwej perspektywie i razem z niemi przypominając nam odcienne polskie rozwiązania zagadnień ustrojowych ciągle aktualnych.

W chwili, gdy nasz Prezydent, Rząd Rada Narodowa przygotowują na obczyźnie przywrócenie panowania prawa na ziemiach polskich, związki unijno-federacyjne między Polską z innymi państwami, pogodzenie idei autorytetu i wolności, — zagadnienia rozważane dzisiaj przez wszystkie narody w związku z celami wojny, — w takiej chwili rozpamiętywania najznakomitszych pomników ustroju staropolskiego jest nie tylko melancholijnym wspomnieniem lepszych czasów dawno minionych, ale także zadatkami lepszej przyszłości, podniętą energji i pobudką czynu.

OSKAR HALECKI.

Feljeton dla dzieci

JAN LECHOŃ

HISTORIA O JEDNYM CHŁOPCZYKU I O JEDNYM LOTNIKU

Był raz sobie jeden chłopczyk, Grzeczny, cichy, niby truscia. Mieszkał chłopczyk ten w Warszawie, Miał Mamusię i Tatusia.

I zabawek miał on tyle Ile może przyjść do głowy: Kolej, siatka na moyle. Był tam także miś pluszowy.

Wszystko zawsze ma w porządku, Nic nie niszczy, nic nie gubi, A z zabawek tych najwięcej Olowiane wojsko lubi.

Tyle wojska nie ma żaden Inny chłopczyk w kamienicy: Są tam strzelcy, szwoleżerzy, Marynarka i lotnicy.

Już od rana maszerują, Bębny biją, trąbki grają, A zaś armat, samolotów Ile trzeba — wszystko mają.

Żadnym ludziom żadnej krzywdy

Nie chcą nigdy zrobić oni, Lecz jak kogo kto napadnie, To to wojsko jego broni.

Więc na przykład bolszewicy Raz podeszli pod Warszawę, Chłopczyk zaraz kazał wojsku Zeby poszło na wyprawę.

I tak szybko się sprawili Od śniadania do obiadu, Ze z tych ciałych bolszewików Nie zostało ani śladu.

Aż Piłsudski z portretu (Co to Tatuś go postawił), Mówił: „Dobrze, mój chłopczyku! Bardzo dobrześ mi się sprawił”.

Wszyscy w wojsku byli dzielni (Ile ich tam jest tysięcy), Ale jeden mały lotnik To już chyba był najwięcej.

Już od rana coś majstruje, Coś naprawia, coś sposobi,

I nie trzeba nic mu mówić — Bo sam zawsze wszystko zrobi.

Na noc zawsze do pudełek Chłopczyk składał swych żołnierzy, Bo wiadomo — dobre wojsko Już o ósmej w łóżku leży.

Gdy zaś rano chłopczyk idzie Na dzieńdobry do Mamusi, Czy general czy też hałbrał — Wszystko jedno: wstawać musi.

Aż tu kiedyś jedna, druga, Potem trzecia noc upływa, A ten chłopczyk nie przychodzi Ani nawet się odzywa.

Wojsku nie dał do jedzenia, Wszystko głodne i pośnięte: Musztry żadnej być nie może, Bo pudełka są zamknięte.

I dopiero kiedy wszyscy Utracili już nadzieję, A general bał się że mu Całe wojsko zarzadziewie —

Otworzyły się pokrywki, Znowu słońce pięknie świeci, I to wojsko nawyrużyło Na pozycje swoje leci.

Ci samolot naprawiają, Ten przynosi znów kartace, A wtem widzą, że ten chłopczyk Przy stoliku siadł i płacze.

Cale wojsko pomyślało, Że to chyba nie należy, Zeby taki chłopczyk płakał,

Który tylu ma żołnierzy.

Ale widzą, że on w oczki Włożył prawie piastkę całą, Więc prosili generala, By go spytał co się stało.

I dopiero tu się bardzo Smutnych rzeczy dowiedzieli: Że ci Niemcy nas napadli I że Polskę nam zajęli.

Że ponieważ każdy chłopczyk Za tę Polskę bić się gotów, Więc do takich małych dzieci Też strzelali z samolotów.

Opowiada o tem chłopczyk, Jak to w naszej się stolicy Bił nie tylko polski żołnierz, Ale nawet ulicznicy.

I czy biedny, czy bogaty, Każdy walczył w naszym mieście, I że dzieci o tem w szkołach Będą uczyć za lat dwieście.

Że zbuzzyli Świętokrzyską I Wierzoną, plac Krasinski, I że wielki jest bohater Taki jeden pan Starzyński.

Że się przytem okazało, Że ci Niemcy to wygrali, Bo im stylu bolszewicy Bić się z Polską pomagali.

A Warszawa była sama I nie mogła się obronić, Więc ci Niemcy ją zajęli, I ktoś musi ich wygonić.

Na to wojsko w jednej chwili Jak nie zaczęli maszerować, Jak nie krzyknęli całą wiarą Olowiana: „Wodzu! Prowadź”.

Jak nie pójdą do ataku, Jak nie ruszą wszyscy w pole! Nawet miejsca na to wszystko Nie starczyło już na stole.

Ale chłopczyk przestał płakać I powiada im: „Rodacy! Zawszem wiedział żeście dzielni, Bo byliście zawsze tacy.

„Ze za Polskę umrzeć chcecie Ani trochę mnie nie dźwi, Ale bić się nie możecie, Bo jesteście nieprawdziwi.

„A prawdziwe polskie wojsko Już się robi zagranicą, Samolotów mają pełno, Wszystkie nowe — aż się świecą.

„I podobne takie bomby Tym lotnikom polskim dali, Że jak jedną taką rzuci, Cały Berlin się zawali.

„Już do tego wojska poszły Pokryjomu ludzi masy. Nawet uciekli swojej mamie Jeden chłopczyk z wstępnej klasy.

„Ja się Mamę też pytałem, Gdzie to wojsko się znajduje, Ale kto ma sześć lat tylko, To General nie przyjmuję.

„Więc dobranoc wam, żołnierze,

Już nie płaczmy, w górę głowa! Dziś mi Tatuś opowiadał Co to była Częstochowa.

„Jak się wszyscy umówili I zaczęli Polskę bronić, To tak wrogów wypędzili, Że ich nie mogli nikt dogonić!!!!”.

Znowu wojsko jest w pudełkach (Zawsze śpi już o tej porze), Ale dzisiaj — niema mowy: Oczu zmrzuczyć nikt nie może.

Żadna szarża dziś nie chrapie, Warta wdycha ze swej budki, A ten młody, dzielny lotnik Chyłkiem wyszedł z swej przegródki.

Spód pokrywki się wysunął, W helm lotniczy swój ubrały, I powiada sam do siebie: „Cóż że jestem ołowiany?”

„Jak nie przyjmą, to nie przyjmą, Na to nikt już nie poradzi, Ale zrobić co należy, A spróbować nie zawadzi”.

I odrzuć, co się dzieje? No, zgadnijcie tylko sami: Naraz sama się otwiera Jedna książka z obrazkami.

Jedna pani z niej wychodzi, Tak ubrana jak królowa, I do tego się lotnika Odezwała w takie słowa:

„Ja nie jestem żadną wróżką, Ani nie wiem co to czary,

JAN STAŃCZYK

Przyczyny nędzy gospodarczej Polski

Głównym celem gospodarki kapitalistycznej jest produkowanie dóbr społecznych dla zysku. Gospodarka kapitalistyczna interesuje się potrzebami ludźmi tylko o tyle o ile zaspokajanie ich przynosi zysk. Kapitalista nie buduje mieszkań, nie produkuje odzieży dlatego, że istnieją bezdomni lub nieodziani ludzie, lecz jedynie po upewnieniu się, że budowa mieszkań czy produkcja odzieży przyniesie zysk. To pragnienie osiągania zysków, możliwe jak największych zysków, jest jedynym bodźcem popędzającym każdego kapitalistę z osobna i wszystkich razem do nieprzerwanego wysiłku o rynku zbytu.

Walkę o rynku zbytu i zyski prowadzi kapitaliści różnymi metodami. Ale zasadniczymi środkami tej walki są możliwe niskie koszty produkcji towaru. Niskie bowiem koszty produkcji decydują ostatecznie o cenie towaru. Decydują nie tylko o możliwości sprzedania towaru ale i o wysokości zysku. Niskie koszty produkcji są zaś uwarunkowane niskimi placami, długim czasem pracy i możliwie małą ilością zatrudnionych przy produkcji możliwe jak największej ilości towarów. Kapitaliści dają więc do osiągnięcia tego ideału nie tylko przez niskie place, długi czas pracy, ale przez zastępowanie w procesie produkcji w przemyśle i na roli pracy ludzkiej maszyną. Im doskonalsza maszyna, im taniej, szybciej i sprawniej pracuje, im większa ilość żywych ludzi zastępuje w pracy, tem lepiej dla kapitalisty, tem pewniejszy jest tryumf nad konkurentem i zysk.

Jak każdy ustrój, tak i ustrój kapitalistyczny miał swój rewolucyjny „górny i chmurny” okres młodości. W porównaniu z feudalizmem, kapitalizm był postępem, był niuankiem okresem w pochodzie dziejowym ludzkości do coraz doskonalszych form bytu. Jednakże po tym górnym i chmurnym okresie młodości i stacycznym wieku obrotowania w bogactwa i władzę nad światem, wszedł ustrój kapitalistyczny w niebezpieczny okres starości a w końcu w okres starczego zniechęcenia i rozkładu.

Nie mogę w ramach jednego artykułu zająć się wszystkimi przyczynami rozkładu gospodarki kapitalistycznej.

Ale by udowodnić, że ustrój ten stał się już tylko czynnikiem gospodarczego, politycznego i społecznego rozkładu narodów, że nie może on już dać ludzkości nie poza nędzą, anarchią i wojnami, wystarczy stwierdzić, że właśnie w czasie kiedy wiedza i postęp techniczny umożliwiają wytwarzanie łatwo i szybko prawie nieograniczalnych ilości wszelkiego dobra społecznego, ludzkość popadała w najstraszniejszą nędzę; przeżywa okres nieznanej w dziejach anarchii gospodarczej i jedną z najstraszliwszych wojen.

Przykłady z życia gospodarczego naszego kraju udowodniają jaskrawo, do jak zgubnych następstw prowadzi gospodarka kapitalistyczna. Polska nie była krajem rozwiniętym gospodarczo do poziomu wielokapitalistycznej produkcji przemysłowej, ale krajem o przewadze rolnictwa, a więc krajem taniej żywności i jeszcze tańszego robotnika w przemyśle i na roli. A jednak właśnie Polska przeżywała najdotkliwiej skutki kryzysu gospodarczego, który nie był niczem innym niż tylko nieuleczalna chorobą kapitalizmu. Kapitalistyczny katechizm zasad, — niskie place, długi czas pracy przy jednoczesnej mechanizacji i racjonalizacji pracy, —któremu patronowały z uporem gódniejszym lepszej sprawy nasze rządy, świecił w Polsce wyjątkowo jaskrawo swój smutny tryumf.

Punktem wyjściowym, prowadzącym stopniowo Polskę aż do — katastrofy gospodarczej, była era deflacji. Deflacja miała doprowadzić poprzez niskie place w przemyśle i handlu, w rolnictwie i w administracji, poprzez ograniczenie świadczeń ubezpieczeniowych, przedłużanie czasu pracy, racjonalizację i mechanizację — do niskich cen towarów, a w następstwie do gospodarowania małą ilością pieniądza i do skutecznej konkurencji naszego przemysłu i rolnictwa na rynkach zagranicznych.

Założenia deflacionistów były równie proste jak i gospodarczo naiwne: wierzyli, że niskie place doprowadzą do niskich cen towarów, że przedsiębiorstwa technicznie zacofane ulegną likwidacji, bo tylko te przedsiębiorstwa, które będą pracowały

tanio wskutek daleko posuniętej mechanizacji i racjonalizacji pracy, ostaną się przy niskich cenach. Robotnicy zaś w przemyśle, handlu, komunikacji i rolnictwie, pracownicy państwowi i samorządowi nie stracą nic na obniżkach plac, gdyż spadek ten zostanie wyrównany spadkiem cen. Rolnictwo wyrówna sobie niskie ceny produktów rolnych niskimi cenami produktów przemysłowych. Cel zostanie osiągnięty: Polska będzie produkowała tanio i bila tanioczą swoich towarów wszystkich konkurentów na rynkach zagranicznych. Rozwinie swój wywóz i będzie miała cenną placę za wóz obcych towarów. W ten sposób rozwinie się nasz przemysł i zlikwiduje się bezrobocie nie tylko wśród robotników przemysłowych, ale wśród ludności na wsi. Takie to piękne były marzenia deflacionistów. A oto rezultaty.

Place pracowników państwowych i samorządowych obniżono łatwo drogą zwykłych zarządzeń. Z obniżkami plac robotników, z przedłużeniem czasu pracy, z pogorszeniem ustawodawstwa społecznego nie poszło już łatwo. Robotnicy się bronili. Ale strajki likwidowano szybko i sprawnie przy pomocy krwawych rozpraw policji ze strajkującymi. Z obniżkami cen towarów nie można się było złatwić tak bezceremonialnie jak z placami robotników. Wpływy przedstawicieli koncernów na rządy i sejmy były wystarczające mocne, by zahamować zapal zwolenników obniżek cen towarów drogą urzędowego nakazu.

Deflacioniści nasi i zarazem liberalowie gospodarczy nie zastanawiali się nad takim dla nich drobiazgiem, jak to że niskie place dają w rezultacie natychmiastowy spadek konsumpcji towarów przemysłowych i produktów rolnych. A spadek konsumpcji spowoduje spadek produkcji, konieczność ograniczania liczby zatrudnionych robotników i pracowników, wzrost bezrobocia, dalsze ograniczenie konsumpcji i dalszy wzrost bezrobocia, znowu spadek konsumpcji i produkcji, i tak dalej aż do absurdu gospodarczego. I rzeczywiście zmniejszały się szybko place, malała konsumpcja, przemysł ograniczał produkcję, zamykano fabryki, zapiatano kopalnie, liczba bezrobotnych wzrastała coraz szybciej, zamierał handel i drobne warsztaty rzemieślnicze.

Wszelkwna nędza, obejmując w swe żelazne kleszcze ludność miast, sięgnęła także po wieś — objęła żelaznym uściskiem także miliony rolników. Bezrobotni robotnicy i pracownicy, skoro nie zarabiali, przestali być konsumentami zarówno towarów przemysłowych jak produktów rolnych. Żyli życiem niezdary; kartofle i kapusta stały się ich wyłącznym pożywieniem. Półbezrobotni zaś ograniczali swe wyżywienie do norm głodowych. Rolnictwo nie miało nabywców na swoje produkty, obniżało ceny, często do absurdalnych gospodarczo granic. Ale i to nie pomagało. Dla tego bowiem, kto nie nie zarabiał, wszelkie ceny stały się wogóle bezprzedmiotowe. Dla tego zaś, kto zarabiał mało, każda cena jest za wysoka. Wiesz, sprzedając coraz taniej, popadała w coraz większą nędzę. Początkowo ograniczała a w końcu zaprzestała nabywania produktów przemysłowych. I tak cały kraj zamienił się w cmentarzysko zamarych warsztatów pracy, bezrobocia i powszechnej nędzy. Ale przekonajmy się jeszcze na analizie wskaźników plac i konsumpcji, produkcji i zatrudnienia, jak się odbywał ten ponury proces staczenia milionów ludności naszych miast i wsi na niziny coraz okropniejszej nędzy.

Na 100 przepracowanych robotniko-godzin w r. 1929, przypadało takich robotniko-godzin w r. 1933 zaledwie 58. Czyli że tam gdzie w r. 1929 pracowano i zarabiano 100 robotników, pozostało ich w r. 1933 zaledwie 58 a 42 stało się bezrobotnymi. Sumy dochodu poszczególnych grup społecznych spadają gwałtownie: u robotników przemysłowych — z 4,8 miliardów (1929) do 2,3 miliardów (1933); u pracowników umysłowych — z 2,5 (1929) do 1,8 (1933); u rzemieślników, drobnych kupców (drobnego mieszczaństwa) — z 3,5 (1929) do 1,9 (1933); u chłopów i robotników rolnych — z 10,3 (1929) do 5,1 (1933).

Wślad za tem obniża się wskaźnik konsumpcji że 100 w r. 1929 do 70 w r. 1933, i produkcji że 100 do 68. Nędza gospodar-

cza ludności w mieście i na wsi pociąga katastrofę finansową państwa.

Zrzuwany przemysł i rolnictwo, zbiedzzone masy ludności nie mogą płacić podatków. Kolej daje deficyty, gdyż przewoźny coraz mniej towarów i ludzi. Skarb jednak nie może zrezygnować z podatków, państwo musi bowiem utrzymywać urzędników, armię, wypłacać emerytury i zasiłki coprawda głodowe, ale coraz większej masie bezrobotnych. W tych warunkach nie można nie tylko obniżyć podatków, ale co gorsza, trzeba nakładać coraz nowe ciężary podatkowe, i to już tylko na te dziedziny życia gospodarczego, które jeszcze nie uległy zniszczeniu. Nadchodzi w końcu katastrofa. Minister skarbu Kwiatkowski musi oświadczyć — kasy skarbowe są puste, nie mam pieniędzy na wypłacenie pensji urzędnikom, kolejarzom, żołnierzom. I rzeczywiście skarb nie miał pieniędzy nie tylko na pensje pracowników państwowych, lecz i na uzbrojenie armji, i to w chwili kiedy już wiedzieliśmy że stoimy w obliczu krwawej rozprawy z Niemcami. Chcąc ratować państwo przed bankructwem finansowym, minister skarbu próbuje zerwać z nieszcześnie polityką deflacyjną i wejść na drogę dostarczania życia gospodarczemu potrzebnych ilości środków pieniężnych. Jest jednak już trochę za późno, i brak mu niestety, odwagi do zerwania z absurdalną teorią pieniądza, opartego na podkładzie złota, w kraju, który tego złota nie posiadał.

Wiara deflacionistów, że po krótkim okresie trudności gospodarczych dopóki się ceny nie dostosują do niskich plac, nastąpi wzrost wywozu, napływ obcych walut, rozwój przemysłu i zwiększone zatrudnienie ludności z miasta i wsi, słowem — powszechny dobrobyt, okazała się bezniesnością gospodarczą. Deflacioniści nie rozumieli, że okres wolnej konkurencji, okres kiedy o możliwości sprzedaży towarów na rynkach zagranicznych decydowała tylko cena, już dawno przeminał. Zapatrzeni w teorię liberalizmu gospodarczego, nie widzieli takich, zdawało im się, prostych faktów, jak że w okresie rozwoju przemysłu, udoskonalonych narzędzi pracy, łatwości masowej produkcji, każde państwo pragnie jak najwięcej wywozić a jak najmniej wwozić obcych towarów. Każde bowiem państwo a szczególnie państwa o wysoko rozwiniętej gospodarce przemysłowej, miały własnych bezrobotnych i pragnęły za wszelką cenę wywozić swoje towary, broniąc się jednocześnie wszelkimi możliwymi sposobami przed wwozem i jak trudnić własne warsztaty pracy i ludzi. W tych warunkach żadne z państw nie dopuszczalo do tego, by inny kraj wwoził na jego rynek swoje towary bez równoczesnego odbioru towarów produkowanych przez własny przemysł lub rolnictwo. Polska chcąc zatem wywozić swoje produkty na obce rynki i sprzedawać je tam nawet po absurdalnie niskich cenach, jak np. węgiel po 8 zł za tonne, cukier po 9 gr za kg, benzynę po 11 zł za 100 kg, musiała nabywać zagranicą towary, które można było produkować w kraju.

Nie więc dziwnego, że wobec takiej rzeczywistości wyprawa na obce rynki po obce waluty przyspieszała jedynie katastrofę gospodarczą własnego kraju. Nie ulega bowiem wątpliwości, że forsując wywóz przy pomocy dumpingowych cen, sprzedając węgiel za 8 zł na rynkach obcych, musiano sprzedawać ten sam węgiel w kraju po 24 zł za tonnę; benzynę,

sprzedawać obcym za 11 zł za 100 kg — sprzedawać w kraju po 70 zł; cukier, sprzedawany obcym po 9 gr za kg — sprzedawać w kraju po 1 zł 20 gr. Do wywożonego na rynki obce zboża trzeba było dopłacać haracz w postaci premji wywozowej. Słowem, za politykę wywozową placila zbiedniała ludność Polski dodatkowe podatki.

Jasne więc jest, że wywóz w takich warunkach powiększał jedynie nędzę ogółu ludności, pogłębiał kryzys, prowadził do zmniejszenia konsumpcji towarów własnych, do ograniczenia produkcji na własne potrzeby, do powiększenia bezrobocia, nie dając wzamian za to ani złota, ani obcych walut. Przeciwnie, nawet te skromne zasoby złota i walut, jakie Polska miała przed okresem polityki deflacyjnej, ułatniały się zagranicę. W r. 1929 mieliśmy zapasu złota na 701 milionów zł i walut za 456 milionów zł. W czasie eksperymentu deflacyjnego zapasy złota zmalały do 526 milionów w r. 1933 i do 393 milionów w r. 1936; dewiz — do 88 milionów w r. 1933 i do 30 milionów w r. 1936.

Wszystkie więc założenia naszych deflacionistów okazały się fałszywe i zgubne dla naszego przemysłu, handlu, rzemiosła, rolnictwa, ludności i państwa. Polska, mające duże stosunkowo zasoby własnych surowców, fabryki do ich przerobienia, zdolnych inżynierów do kierownictwa, pracujących robotników i najpraciejszą w świecie ludność wiejską, dostateczne ilości żywności, stała się krajem powszechnej nędzy.

W imię obłędnej wiary w fałszywe dogmaty gospodarki kapitalistycznej i w cudowną moc pieniądza opartego na złocie zamiast na naturalnych bogactwach narodu: na jego zasobach surowców, warsztatach produkcyjnych, pracy mózgow i rąk ludzkich, topiono kopalnie węgla, kruszców i rud żelaznych, niszczone przemysł naftowy, zamykano fabryki, nie budowano ani mieszkań dla bezdomnych, ani tak bardzo potrzebnych nam dróg i kanałów wodnych, głodzono ludność, wywożąc jednocześnie żywność na rynki obce po absurdalnie niskich cenach. Można by o tym obłędzie gospodarczym ani nie mówić ani nie pisać, ale niestety, spotykamy jeszcze dziś ekonomistów podejmujących beznadziejne próby udowodnienia nam, że nie istnieją wogóle inne możliwości gospodarowania niż tylko w oparciu na zasadach gospodarki kapitalistycznej.

Beznadziejne są te próby. Polska nie wróci już nigdy do zasad gospodarki, która uniemożliwiała narodowi zapewnienie sobie dobrobytu i siły do obrony swej niepodległości. Jeżeli ekonomiści nie potrafią tak zharmonizować podstawowych czynników gospodarczych, jak surowce, fabryki, praca ludzka i żywność, aby zapewnić narodowi dobrobyt, a krajowi siłę obronną, niech wybaczą, ale nauki ich są nie nie warte i nikomu na nic niepotrzebne. Polska musi, bez nich i wbrew nim, ująć wszystkie czynniki niezbędne do gospodarowania w planowy zespół i poddać gospodarke nie wysokim czy potrzebom jednostek lub grup, bez względu na ich nazwę, lecz potrzebom całego narodu i państwa.

Ponad t.zw. nienaruszalnymi prawami ekonomiji kapitalistycznej i grą wolnych sił gospodarczych i ponad prawami do zysków — przyszła Polska postawi na naczelnym miejscu najwyższe prawo: *prawo całego narodu do pracy i do dobrobytu oraz bezpieczeństwa kraju.*

JAN STAŃCZYK.

OTTON LASKOWSKI JAN III SOBIESKI

cena 4/6 w opr.

do nabycia w księgarniach:

M. I. KOLIN (Publishers Ltd.), LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1;
PERTH: 28, King Edward Street; DUNDEE: 24a, Cowgate

Lecz nad wszystko kocham Polskę,
Szara Wisła, Wawel stary.

„Kocham wszystkich w Polsce ludzi,
I nie zrobi nikł z was kroku,
Żebym tego nie widziała,
Płynąc cicho na obłoku.

„Więc ci powiem, że gdy Niemcy
Polskie dzieci mordowali,
Wszyscy święci się na niebie
Z lazrowych miejsc porwali.

„Święty Michał miecz wyciągnął,
Wszystkie święte zapłakały,
A zaś Wojciech i Stanisław
Wnieśli w górę pastorały.

„Och! Nie będzie w Polsce Niemiec
Ani Moskal długo siedział,
Możesz wszystkim to powtórzyć
Co mi Pan Bóg sam powiedział.

„I to powiedz, że kazala
Matka Boska nasza słodka,
By każdemu Polakowi
Pomógł anioł, jak go spotka“.

Poznał lotnik, że ta pani,
To królowa polska była,
Ta Jadwiga, co to kiedyś
Tak do Boga się modliła.

Ażśmy tych Niemców zbili
Że nie mogli już nas męczyć,
A ich książę musiał nawet
Na krakowskim rynku klęczyć.

„Wiem, — powiada ta królowa, —
W jaką chciałeś ruszyć drogę.
Ja polskiemu żołnierzowi

Żeby nie wiem co — pomogę“.

I podniosła oczy w górę,
I odrązu lotnik czuje
Że jest coraz grubszy, większy,
A ubranie wciąż pasuje.

Słyszysz tylko że Jadwiga
Zawołała: „Bóg ci prowadzi!“
Już go niema. Ledwo zdążył
Świętą w rękę pocałować.

Idzie teraz dniem i nocą
Przez deszcz, burzę i zawieję,
Idzie sobie borem, lasem,
I wciąż śpiewa, wciąż się śmieje.

Czasem tylko jak zobaczy
Jakis polski dom spalony,
To zaciska zaraz ręce
I odrązu jest czerwony.

Czego w drodze on nie widział,
Tego ja wam nie powtórzę,
Jakie polskie cudne wioski,
Jakie miasta, piękne, duże.

W każdym chciałoby się zostać,
Ludziom pomóc i pocieszyć,
Lecz ten lotnik szedł do wojska,
Więc się musiał bardzo śpieszyć.

I nareszcie zawędrował,
Wygodzony, ubłocony,
I zobaczył! Jezus Marja!
Polskie wojsko z każdej strony.

Samolotów naszych tyle,
Że ja nie wiem czy kto zliczy,
I prawdziwy polski kapral
Na żołnierzy strasznie krzyczy.

Zapisali go do wojska,
I odrązu do roboty!
Jak ten motor nie zawarczy,
Jak nie fuknie, Boże złoły!

Jak nie walczy pod morzem!
(Motor warczy wciąż zawzięcie).
Lotnik patrzy na dół. Co to?
Polska flaga na okręcie!

Jeden okręt, drugi, trzeci —
Co za radość! Jeszcze chwila,
A tu nasza łódź podwodna
Naraz z morza się wychyla.

„Ach, wy Niemcy! — krzyknął lotnik —
Zapłacicie wy nam drogę!“
I powiedział jedno słowo,
Co go dzieci znać nie mogą.

Bił się lotnik nasz w Norwegji
(Choć móż straszny, Niemców kr opół),
Bił się w Grecji, gdzie się mało
Od gorąca nie roztopił.

Bił we Francji i tam Niemcom
Sprawił istny koniec świata,
Teraz w Anglii szósty miesiąc
Niema nocy — że nie lata.

Ledwie trochę je i pije,
Chciał może — nie śpi prawie,
Ciągłe głady swój samolot
I wciąż myśli o Warszawie.

A że prawda jak oliwa
Chocbyś nie chciał to wypłynię,
O lotniku naszym wreszcie
Dowiedzieli się w Londynie.

Pan Prezydent sam mu przypisał

Piękny order narodowy,
Choć ten lotnik był tak mały
Że mu siegał do połowy.

Wódz naczelny zaś zawołał:
„Dawać mi tu tego smyka!“
Machnął piórem i rozkazał
Zrobić z niego porucznika.

A pan Churchill, grubas, wyjął
Jakieś pismo z swojej teczki
I powiedział: „Goddam! Goddam!“
I zapykał z swej fajeczki.

(W piśmie było powiedziane,
Że angielski król jest pewny,
Że ten lotnik kiedyś przyjdzie
Na kakao do królowy).

Ale lotnik nasz tej nocy
W górę wbił się wyżej, dalej,
Nad te domy gdzie szyb niema,
W których światło się nie pali.

Spojrzał z góry na Warszawę,
Jeden, drugi raz zawrócił
I nad jednym biednym domem
Taką krótką kartkę rzucił:

„Mój chłopczyku! Powiedz wszystkim
Żeby więcej nie płakali.
Przyjdzie wojsko, co wypędzi
Wszystkich Niemców i Moskali.

Więc patrz dobrze, czy nie płynie
Samolotu w górę mgielka“ —
I podpisał:

„Józio Nowak,
który zginął ci z pudełka“.

JAN LECHOŃ.

ARKADY FIEDLER

Koleżeńskość¹⁾ z cyklu „Dywizjon 303“

Dover, przyczółek Wielkiej Brytanji, jest kątem szczególnie doniosłym. Ziemia tam ważna i niebo ważne. Na niebie, niby stada pasących się owiec, wydymają się pulchne balony zaporowe. Śmieszne i nieporadne, lecz groźne i złe: śmiałek z powietrza zapłacze się w ich linach i spadnie na śmierć. Dla swoich, to niewinne baranki; dla wroga — ciernie w oku. Więc Niemcy nienawidzą tych balonów i uparcie na nie polują.

Szedł cały dywizjon Messerschmittów od południo-zachodu, od strony Hastings. Klucze, kryjąc się wśród rzadkich chmur, ukradkiem jak złodzieje, zbliżyli się wzdłuż brzegu do Dovru. Chcieli zaskoczyć. Lecz zanim mogły pomyśleć o nurkowaniu na balony, same — zaskoczone — ujrzały przed sobą brytyjskich myśliwców. Byli to Polacy z dywizjonu 303.

Nastąpiła walka kolowa, jakiej Dover jeszcze nie widział. Przeszło dwadzieścia maszyn zataczało to koła, to elipsy, to wyroty, to loopingi, i w tej szalonej kotłowaniu było tyle wdzięku, że patrzącym z dołu walka wydawała się raczej płasem, raczej turniejem średniowiecznym, aniżeli rzeczywistością wojny totalnej.

Niemcy długo nie wytrwali. Nikogo jeszcze nie zestrzelono, lecz Polacy, na zwrotniejszych Hurricane'ach, coraz widoczniej nabierali przewagi i coraz łatwiej dopadali do ogonów przeciwnika. Ten i ów Messerschmitt, zbyt gorąco przypierany, zaczął dawać nura i wyrwawszy się ze zgiełku, pędził na Kanał, ku Francji. Coraz puszej robiło się nad Dovrem, aż w końcu w powietrzu pozostały po samolotach tylko białe smugi, niby warjacko poklebane sznury niciane. Gonitwa przeniosła się nad Kanał. Messerschmitty mknęły jak spłoszone jelenie, ścigane zapamiętałe przez Hurricane'y.

Polski dywizjon wykonał swe zadanie.

Przepędził wroga znad Dovru.

Jednym z goniących był por. O²⁾. Dwa dni temu odniósł świetne i tak łatwe zwycięstwo, więc dziś się uparł, że zdobędzie drugiego „Adolfa“. Messerschmitt, którego sobie upatrzył, czuł jak gdyby pismo nosem. Wiercił się niespokojnie, wykonywał uniki zupełnie zbędne, po prostu nie trzymał w garści nerwów. Pozwoliło to Oxowi, w pakowaniu w silnik całego gazu, przybliżyć się do uciekającego samolotu. Z trzystu metrów wyrwał do niego serię pocisków.

Reakcja była niespodziewana, i Oxa aż zatkało ze zdumienia: Niemiec zwał się na skrzydło i wykręcił najprawdowszą bezkę, poczem leciał sobie dalej po prostej linii. Błażeński, teatralny gest, potrzebny mu w tej chwili jak umarlemu kadzidło.

„Żółtodziób!“ — pomyślał Oxa i postanowił przeciwnika wykończyć jak najszybciej.

Było pilno. Przed nimi, na dole, widniał coraz wyraźniej brzeg francuski, najeżony zjadliwą obroną przeciwlotniczą. Wskutek bezcki Messerschmitt stracił dalsze sto metrów w wysiłku. Oxa patrzył na niego przez celownik, i przyjemnie było patrzeć: w samym środku czerwonego kręgu tkwił olbrzymi kadłub nieprzyjacielskiego samolotu, szary jak dziki gołąb i jak gołąb bezbranny.

Pociski drugiej serji poszły wprost w niego. Messerschmitt ostro znurkował. Oxa pika rzucił się za nim. Leczagle, ku jego przerażeniu, stało się coś strasznego: ciemno w kabine. Zakryła ją tajemnicza zasłona. Jakis plyn trysnął z silnika i zalał z zewnątrz szyb. Po ciemnozielonej barwie Oxa natychmiast poznał, że to oliwa. Włosy zjeżyły mu się na głowie: pękły przewody z oliwą.

Oczywiście, myśliwiec odrazu zaniechał pogoni, wyciągnął samolot z nurkowania i zawrócił ku Anglii. Nie mógł dobić Niemca, ale o tem już nie myślał; bliższa mu była własna skóra. Otworzył kabinę i chustką przetarł nieco szyb przeciwpancerną. Stało się widnieć.

Wtem nowy deszcz. Z rur wydechowych zaczęły buchać gęste kłęby dymu. Wyglądało na to, jak gdyby maszyna lała chwiła miała stanąć w płomieniach. Oxa odpał na wszelki wypadek pasy, by móc łatwiej wyskoczyć. Czekał i z grozą spozierał na dół, gdzie skoczy: morze wyglądało jak ponura płyta ołowiu. Myśliwcy nigdy nie lubią morza, lecz teraz Oxowi wydawało się ono uosobieniem piekła.

Ogień nie wybuchł, lecz stała się rzecz równie katastrofalna: bez dopływu oliwy silnik zatarł się i zaczął trząść tak gwałtownie, jak gdyby to była jazda po twardej grudzie. Oxa pośpiesznie wylać benzynę. Silnik przestał pracować. Samolot, zdany już tylko na własne skrzydła, szedł dalej lotem ślizgowym. Była to jego ostatnia możliwość ratunku.

Wysokości miał 7000 m, a do Anglii było 25 km. Czy dośląga się? Samolot był już tylko wielocentnarową masą metalu, spadającą powoli z góry, beznadziejna a posłuszna jednej woli: prawu przyciągania ziemi. Więc czy dociągnie?

Lecz to był mniejszy kłopot. Oxa miał inną udrękę, gorszą. Miał strach: był zupełnie bezbranny. Owego dnia, z września, nad Anglią toczyły się walki w całej pełni. Tędy musiałby wracać Messerschmitt. Oxa, lecący powoli jak zółw, z dymiącą maszyną, niezdolną do manewru, bezbranny Oxa rzucał się w oczy każdemu

w obrębie kilkunastu kilometrów, i pierwszy lepszy pędrak mógł go zatuc jak wróbla w klatce.

Oxa czuł duszę na ramieniu. Miał wrażenie, że mu polamano ręce i nogi. Nie był już dumnym myśliwcem, gotowym wyzwać do boju cały świat — był nędznym robakiem. Był żołnierzem bez bronii.

Już go wykryli! Widzi przez zapa-praną szybę, że zboku jakiś samolot sunie prosto na niego. Jest pięćset metrów, już trzysta, już powinien strzelać. Oxa wytrzeszcza w jego stronę oczy, jakby wzrokiem chciał go odeprzeć. Lecz przybysz nie strzela. Przeciwnie, to przyjaciel, ppor. Tolo. Zdaleka dostrzegł biedę Hurricane'a i przyjechał na pomoc. Poznaje Oxa. Daje mu znak ręką, że pozostanie w pobliżu i będzie czuwał.

Po chwili dołącza się do nich drugi Hurricane, i jest to również swój, z polskiego dywizjonu, por. Paszko. Gdy Paszko zauważył dziwny pochód, przerwał pójść za wrogiem i przybył. Obok Oxa leci ich teraz dwóch.

Oslaniają go. Wiedzą, że narażają się na największe niebezpieczeństwo w razie ataku licniejszego przeciwnika, bo nie będą uciekali. W obronie towarzysza gotowi są zginąć i nie mają co do tego żadnej wątpliwości: pozostaną przy nim. Na dole, w oparach ziemi, sprawy życia i śmierci są zawile, męczące, często nieporozumiałe zagadnieniem. Na wysokości siedmiu tysięcy metrów sprawy życia, śmierci i poczucia obowiązku układają się w prosty, wyraziasty sposób: tak samo jak wyraziście jest słońce tuż na dole.

Oxa doznał odprężenia nerwów. Minęła najgorsza chwila i mógł teraz spokojnie zająć się maszyną. Kłęby dymu, na szczęście, ustały. Myśliwiec skupił całą uwagę na pilotażu i pilnował, by w ślizgu wyssał jak najoszczędniej nośność skrzydeł. Wszystkich trzech niepokoiła ta sama myśl: czy Oxa dobrze do Anglii, czy też wpadnie do morza?

Minęli już środek Kanału. Anglię widzieli coraz lepiej, chociaż brzeg zbliżał się okropnie powoli. Niespokojny wzrok wracał wciąż do tablicy wysokościomierza. Wskaźówka chyliła się bezustannie, z nieugiętą, okrutną ciępliwością. Bezduszny zegar jak gdyby pisał na człowieku wyrok: 8000 stóp wysokości, 7500, 7200...

Wtem ubezpieczający myśliwcy ujrzały daleko przed sobą dwa samoloty. Szły im naprzeciw, w kierunku Francji, nieco zbok i znacznie wyżej. Po kształcie poznali je niezwłocznie: dwa Messerschmitty rogo.

Niemcy zauważyli ich również. Widocznie zaintrygowani nieruchawym lotem, zwęszyli łatwy ląd, skreślił z drogi i wzięli kurs na trójkę Polaków.

Paszko i Tolo przygotowali się do walki. Wzbił się w górę i poczęł zataczać czujne kręgi wysoko nad samolotem Oxa.

Messerschmitty okrążyły trójkę, weszły na jej tyły i mając wielką przewagę wysokości, postępowali za nią. Przez chwilę wahaly się, co począć. Potem nanow podjęły okracający manewr i znalazły się dokładnie od strony słońca. Zajął podstawę do ataku.

Dwaj polscy myśliwcy, latające bez przerwy nad Oxem, nie spuszczały przeciwnika z oczu. W ich spokojnym krążeniu przebiegało twarde postanowienie. Pierścienie, jakimi kryli przyjaciela, miały chyba magiczne zaklęcie. Wróg zaczął rozumieć, że zanim sięgnie do bezbrannego, natrafi na spony.

Messerschmitty zwlekają. Zbliżają się jeszcze bardziej, na pięćset metrów, lecz wciąż odracają atak. Obserwują wnikliwie i chcą widocznie wypatrzyć słaby punkt obrony. Płyną sekundy, brzemienne jak wiek. Niemcy zbyt długo czekają. Minęła ich chwila: zwątpili.

Przeziali decyzję. Nagle skracają i spokojnie lecą dalej do Francji...

Wysokościomierz jest nieublagany: 5000 stóp wysokości, 4500, 4000... Jeszcze 6 km, jeszcze 5. Brzeg jest coraz bli

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1
Phone: MAYFAIR 7807-9
Le Bog d'or Restaurant
MAISON FRANÇAISE
pod asystą kierownictwa
pp. HENRY SARTORI i E. BERHAUD
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 50%
PŁACIĄC NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE
ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCIĘ)
Brylanty, kamienie szlachetne, srebro, platyna
antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast.
miast. Rząd J. K. Mości przejmują całe zakupywane przez nas złoto. Prosimy o odwiedzenie nas lub zgłoszenia przesyłkę pocztą.
LINDEN & CO., 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST

Wspomnienie z Belgradu

Na rok przed najazdem niemieckim i zbiciem miasta, w kwietniu 1940 r., spędziłem dwa tygodnie w Belgradzie.

Samo położenie miasta, na wąskim i stromym grzbiecie wzgórz dzielącym Dunaj i Sawę, jest niezwykłe. Główna ulica, Terazija, biegnie szczytem grzbieta. Ulice poprzeczne schodzą stromo w dół, i w głębi każdej widać było wiosenne rodawskie wody i zamglone błękitnym dymem wzgórz po drugiej stronie szerokich rzek.

Na cyplu ostrogi, w samych widłach wód, stoi olbrzymi wdmuch skalny, pokryty od góry do dołu labiryntem starych murów. Jest to dawna, niegdyś rzymska, potem turecka, forteca imieniem Kalemegdan, której spżiwie armaty panowały przez kilka stuleci nad głównymi szlakami wodnymi tej części Europy, jedynym wówczas środkiem komunikacji. Dziś Kalemegdan jest już tylko parkiem. Między starannie utrzymanymi murami i wieżami park schodzi w dół szerokiemi stopniami tarasów pełnych kwiatów i trawników. Bezmiar otaczający go przestrzeń i światła, skupione nawarstwienia różnych cywilizacji i sam wreszcie ogrom jego budowy robią wielkie wrażenie. Kalemegdan jest jednym z niedocenionych, zdaje się, dotąd cudów świata, rodzącym syntezę wieków i przestrzeni, napelniających przechodnia, jak dużo rzeczy wielkich, rodzącym smutnej zadumy.

Zaloga turecka Belgradu dowodzeni sławni niegdyś wojownicy. Na szczycie Kalemegdanu znajduje się kilka grobowców muzułmańskich. W jednym „turbah” spoczywają zwłoki sławnego Kara-Mustafy, nieodwołalnego zdobywcę Wiednia i antagonisty Jana Sobieskiego, w drugim — zwłoki Damada Ali paszy, zdobywcę Morei. W mieście wspomnienia islamu są już mniej liczne. Dokola białego meczetu Bajrakci stoi kilka kamienie przypominających Stambuł; opodal znajduje się mały bazar w stylu tureckim, noszący nazwę Skadaria. Wspomnienia te noszą w Belgradzie inny charakter niż np. w Budapeszcie. Patrioci węgierscy zatarli starannie wszystkie ślady panowania tureckiego w Budapeszcie, gdzie oprócz starej łaźni z XVI w. zachował się już tylko ukryty w dzielnicy nowożytny napór zrujnowany zamek barokowy, mieszczący „turbah” tureckiego mistyka i filantropa imieniem Gül Baba. W Belgradzie nie widać tego rodzaju starożytności. Gmachy i pomniki wniesione w czasach tureckich stoją opuszczone, lecz wolne. Wielka fala islamu odpłynęła, i pomniki jego tkwią samotnie, jak słupy w wysychających korytach rzek.

Belgrad został bardzo zniszczony podczas wojny poprzedniej, w latach 1914—1915. Budynków dawniejszych jest stosunkowo mało. Nowe wznoszone popiespiesznie, niewiele dbając o styl całości. Obok domów w stylu neobizantyjskim, będących — jak w Rosji — niezbyt szczęśliwą kombinacją Bizancjum i secesji, widać wysokie konstrukcje betonowe. Terazija zamyka od wschodu mały drapieżny nieba, podobny nieco do znanego w Warszawie domu towarzystwa „Frudentia” na pl. Napoleona, która architektka Weinfeld.

Z tem wszystkim Belgrad miał większe od innych miast szczęście do architektów, bo cała jego nieprzymuszona twórczość budowlana nosi charakter wdzięczny i pogodny. Ten charakter pochodzi zresztą w znacznej części z przestrzeni świetlnej, otaczającej ze wszystkich stron pnącej się po wzgórzach miasto.

Szczególną jednak szaną miasta było posiadanie w okresie odbudowy jednego z największych mistrzów rzeźby monumentalnej. Jeden pomnik Iwana Meštrovića nadaje już miastu odrębny, niepowtarzalny charakter. Belgrad posiada ich kilka. Na szczycie Kalemegdanu wznosi się pomnik zwycięstwa: na wysokiej kolumnie stoi wojownik trzymający w ręku dwa gołębie. W parku widniający pomnik poświęcony Francji. Wreszcie już poza miastem znajduje się pomnik poświęcony królowi Karlowi. W parku widniający pomnik poświęcony Francji. Wreszcie już poza miastem znajduje się pomnik poświęcony królowi Karlowi.

Poza stroną malowniczą, najbardziej pociągającą mnie wówczas osobliwość Belgradu był młody i radosny tryb jego życia. Zarazem słowiański i południowy. Ruch, handel uliczny, restauracje przypominały mi nieco, znane w młodości miasta czarnomorskie. Jak w większej części miast słowiańskich, tłum uliczny w Belgradzie przedstawiał barwną mieszaninę różnych stanów i związków z niemi ubiorów. Zamożniejsi nosili eleganckie stroje wiedeńskie i paryskie, u licego drobniomieszczaństwa marynare towarzyszyły kaszkieł, chłopci mieli haftowane samodzielną, jak wszędzie gdzie zachowała się stara cywilizacja rolnicza. Cały ten różnorodny tłum poruszał się w nieprzymuszona swoboda, życzliwy, ciekawy, śpieszący życiem i pragnący zrozumieć. Naprawdę szukałem w jego zachowaniu śladów wieloletniej dyktatury króla Aleksandra, na którą tyle skarg słyżałem zagranicą. Jugosławia nie przeszła napozór żadnej z tych niebezpiecznych niwelacji społecznych, które niosą ze sobą rządy totalistyczne i które wytwarzają w następstwie wszystkie te dziwne formy apatii i przynębiania, jakie widziałem w r. 1937 w Niemczech.

Po paru dniach nauki zacząłem jakakolwiek czytać po serbsku i w dni deszczowe zająłem się lekturą mieszczyńską. W Jugosławii wychodziła wówczas znaczna ilość czasopism literackich. Sam już ton tych periodyków był bardzo pociągający. Czuć w nim było szerokość i rzetelność zainteresowań, radość czytania i pisanie, formułowania myśli i utrwalania jej w znakach typograficznych. Na okładce nowopowstałego mieszczyńszka znalazłem wzmiankę, że spowodowała rozchwyta w ciągu kilku dni całego nakładu, redakcja zmuszona była wydrukować drugie wydanie. Ruch ten przypominał trochę Rosję literacką z okresu 1906—1914.

I tu również przyszło mi na myśl porównanie z tem co widziałem w Niemczech, z tamtejszą smętną vegetacją życia umysłowego i ucieczką czytelników do literatury

dawniejszej. W porównaniu z martwicą Berlina, Belgrad wydawał się kwitnącą oazą. Cofnięcie się kulturalne Niemiec jest najlepiej widoczne od strony wschodniej, gdzie ludy, dawniej lub więcej zależne od wpływów niemieckich, stworzyły intensywnie i pociągające życie własne.

To co widziałem w Belgradzie, utwierdziło mnie w przekonaniu, że państwa nowe, utworzone przed dwudziestu laty między Niemcami i Rosją, były najbardziej udaną częścią pokoju wersalskiego. Kiedy Rosja i Niemcy stawały się powoli nekrologami cywilizacji, ubogie gubernie rosyjskie zmieniły się w kwitnące państwa bałtyckie i cały południowo-wschód Europy przeszedł krótki lecz intensywny okres odrodzenia gospodarczego i kulturalnego. W Belgradzie na każdym kroku widać było żywiołowe narastanie życia, podobne do wiosny w górach. Po przewiezieniu nieskończonych trudności, po latach uporczywej pracy, lud Jugosławii zagospodarował swój kraj i dostał wreszcie trochę pieniędzy. Restauracje pełne były gości jedzących z apetytem szterlety, teatr grał przy wypełnionej widowni, życie było tanie, łatwe i zdawało się uśmiechać do wszystkich. Nikt napozór nie przecewał zbliżających się terminów.

W czasie mego pobytu odbył się pierwszy najazd turystów niemieckich na Belgrad i proba zawiadnięcia miastem przez śmiały „coup de main”. „Turyści”, młodzi ludzie w wieku 25—30 lat, wypełnili nagłe wszystkie hotele. W przedsiomku mego hotelu na Teraziji, kilkanaście osób czekało od rana, telefonowało i denerwowało się, szukając naprzemiennie wolnych pokoi. Cała piramida walizek stała na schodach. Główna poczta była już zajęta przez turystów. Przed każdym okienkiem telegrafu stało kilkunastu turystów, i nikt obcy nie mógł nadąć telegramu. Urzędnicy byli widocznie zdezeretowani i przyjmowali depesze w tempie zwolnionem. W południe dowiedziałem się, że inna grupa turystów udała się na drugi brzeg Sawy, na teren powstawałowy w Zemuniu, przylegający do lotniska.

Popołudniu tłum zaczął gromadzić się na Teraziji w oczekiwaniu wypadków. Tłum ten okazywał zresztą więcej ciekawości niż niepokój lub obawy. Niemcy byli daleko, i nikt nie zdawał się domyślać ich żądzy władania i rozkazywania. Wszyscy słyszeli o dziwnych eksperymentach społecznych w Niemczech, o ich sile wojkowej, nikomu jednak nie zdawało się przychodzić na myśl, że tym razem chodzi już o jego życie. Zgromadzeni na chodnikach Teraziji, podobnie zresztą jak i reszta Europy w r. 1938, nie mieli żadnego stosunku do teorii rasy i przemocy, do „Lebensraum”u i innych wynalazków niemieckich i zdawali się czekać z zainteresowaniem, bez gniewu i niepokoju, co też zrobią turyści niemieccy.

Wreszcie o godz. 18 ukazały się gazety wieczorne, które w jednej chwili rozehwały. Stojadnicowa aresztowano. Sytuacja była wyjaśniona. Następnego dnia „turyści” zaczęli opuszczać miasto.

Dzień ten uprzytomnił mi, jak mało Jugosławia przygotowana była wewnętrznie do stawiania oporu. Zainteresowania jej ludu szły w innym kierunku. Nie nie pozwalało przypuszczać, że równo w rok później ten sam lud dokona przewrotu, obali lawirujący ostrożnie rząd regenta Pawła i da jaskrawy wyraz swej woli oporu. W świetle moich zeszlonożonych wspomnień decyzja ta miała w sobie coś niezwykłego i imponującego. Lud pełen radości życia w świeżo zagospodarowanym kraju wybiera raczej śmierć i zniszczenie niż kapitulację przed niemiecką „Neurodunung”.

Zaraz potem nastąpiły straszne wypadki. Belgrad, opuszczony przez rząd i armię, Belgrad, miasto otwarte, niszczony jest w ciągu trzech dni przez lotnictwo niemieckie. Tysiące bomb, m.in. — jak donosiły gazety — nowe trytonowe bomby niemieckie, padają na jedno z najpiękniejszych miast Europy, któremu pod względem uroku nie dorównywa nawet w przybliżeniu żadne miasto niemieckie.

Zniszczenie Belgradu ukazało zbliska Europie wschodniej ponure oblicze nowych Niemiec. Belgrad nie bronił się jak Warszawa. Opuszczony odrazu przez rząd i armię, nie był w żadnym sensie obiektem wojskowym. Bombardowanie jego było więc tylko karą za nieposłuszeństwo, aktem terroru, wyrazem niemieckiej woli przemocy nie stawiającej sobie żadnego innego celu. Jest dziś jaśniejsze niż kiedykolwiek, że Jugosławia nie mogła w żaden sposób zagrażać Niemcom, że lud jej, niegdyś wojowniczy, zwrócony był cały ku pracy pokojowej. Dzięki temu właśnie Niemcy mogli dotąd czerpać z Jugosławii znaczną część brakujących im artykułów rolniczych. Tymczasem dziś, w okresie najpiękniejszych robót rolnych, cała ludność meška Jugosławii prowadzona jest w niewole, przy jednoczesnej mobilizacji ludności rolniczej Węgier i Bułgarii. Wszystkie te kraje, będące dotąd śpiącym Niemcem, stanęły w obliczu klęski rolniczej, która nie da się naprawić w b.r. Namietność panowania przeważa dziś w Niemczech nad wszystkimi innymi motywami.

Przez długie lata większość Europejczyków, uspiąca biernością Zachodu, nie zdawała sobie sprawy z nowego oblicza Niemiec. Wielu ludziło się aż do ostatnich czasów. Jak wielkie wrażenie zrobiły wypadki ostatnie, wnoszą można z tragicznej śmierci hr. Pawła Teleki w przeddzień najazdu na Jugosławia. Lawirujący ostrożnie szef ekipy germanofilijskiej, stary profesor pamiętający historię wszystkich kongresów, pełen zręcznych formuł i argumentów na wszystkie okoliczności, spostrzegł, że wszystkie jego profesorskie sztuki, cały zapas umijających konwencji i przesądów, który stanowił cywilizację europejską, jest bez znaczenia wobec nagłej woli władania, nieokraszonej żadnymi formułami czy nawet żadną głębszą kalkulacją. W Jugosławii inicjatywa oporu wyszła z ludu, w hierarchicznych Węgrzech spóźniona reakcja przybrała formę samotnego gestu starego arystokraty.

Utrzymanie potęgi wojkowej Mongołów wymagało potęgi pastwisk dla koni. Dlatego Dżengis-Chan mógł spokojnie burzyć miasta i tępć ludność. Utrzymanie potęgi Trzeciej Rzeszy wymaga spełnienia wielu innych warunków. Patrząc na los Belgradu trudno jest uwiarylić, aby potęga ta mogła utrzymać się samą tylko wóla przemocy.

MARCIN ODRÓWĄŻ.

Wielkość przeciętnej człowieka



Pogrzeb króla Edwarda VII w maju 1910 r. zgromadził licznych monarchów europejskich. Od lewej do prawej stoja: król norweski Haakon, król bułgarski Ferdynand, król portugalski Manuel, cesarz Wilhelm II, król grecki Jerzy, król belgijski Albert; siedzą: król hiszpański Alfons, król angielski Jerzy V, król duński Chrystian.

Trzebaby poświęcić dwie kolumny „Wiadomości” recenzji tej książki, by choćby streścić wszystkie pasjonujące szczegóły tak szczerze — to jej najważniejsza zaleta — biografii Jerzego V¹). Jego dzieciństwo pod opieką guberniera, kanonika Dalton (ojca obecnego socjalistycznego ministra), jego młodość, spędzona w roli kadeta i oficera marynarki, luki w wykształceniu „prince Georgie”, który nie miał panować, bo był tylko drugim synem. Później znowu kilkanaście lat życia ziemianina w Anglii wiktoriańskiej, rozkochanego w życiu rodzinnym, stroniącego i od dworu i od towarzysztwa londyńskiego, w którym czuł się nieswojo. Obowiązkowo wreszcie monarch, sumiennego i pilnego, który jednak, jak twierdził jego główny sekretarz, Lord Stamfordham, nigdy nie zrozumiał konstytucji angielskiej (względnie stary ten urzędnik dworski mawiał, że jedynie królowa Wiktorja naprawdę znała swe prerogatywy i obowiązki). W końcu staro i wyjątkowo popularnego króla, który tyraniował rodzinie, lecz w gruncie rzeczy był jowialnym i prostym starszym panem, bardzo konserwatywnym i metodycznym w swym codziennym trybie życia.

Jego biograf opowiada, nam następującą cudowną anegdotkę. Król Jerzy V codziennie niezmiennie spożywał śniadanie o godz. 9, poczem o godz. 9.30 telefował zawsze do swej siostry, księżnej Wiktorji, która miała na niego duży wpływ. Księżna zawsze witała go słowami: „Hello, you old fool (jak się masz, stary cymbale)”. Razu pewnego, telefonistka słysząc to sakramentalne powitanie, przerwała: „Bardzo przepraszam Waszą Królewską Wysokość, Jego Królewską Mość jeszcze nie jest włączony”. Król Jerzy, zamiast się obrazić, opowiadał te historyjki przy każdej okazji, zanosząc się od śmiechu.

Autentyczność biografii podkreślają liczne wyjątki z diariusza, który Król całe życie prowadził metodycznie, jak wszystko zresztą co robił, bo porządek był jedną z jego głównych pasji w życiu. Wyjątki te świadczą o przeciętnym umyśle, lecz właśnie ta przeciętność sprawiała, że jego ministrowie, jak zwłaszcza Balfour, podkreślali słuszenie, że z rozmownym z Królem można się było więcej dowiedzieć, co myśli przeciętny Anglik, niż z lektury całej prasy. Jeden przykład z tysiąca. Król Jerzy, powiada nam jego biograf, miał od początku wielkie wątpliwości co do celowości utworzenia „polskiego korytarza”. Król nie był żadnym germanofilem, samo zagadnienie go nie interesowało, jak wogóle polityka zagraniczna, ale w tej niechęci był wiernym odbiciem nastrojów angielskich, bo była to rzecz nowa, która wielu raziła.

Król Jerzy V znał zbliska cesarza Wilhelma II i aż do wybuchu wojny miał dla niego raczej pewien podziw i sympatię. Po

*) King George V. A Personal Memoir by John Gore. Published by the authority of the King. Londyn, John Murray, 1941; str. XX i 464 i tabl. 24.

jego abdykacji zapisał w swym dzienniku: „Oto los człowieka zdolnego i wybitnego, którego zgubiła chęć rządzenia światem. Nikt nie może rządzić całym światem, te próby muszą zawsze źle się skończyć”. Trudno nazwać ten pogląd bardzo głębokim, choć nie jest pozbawiony pewnego zdrowego sensu. Warto dodać, że po wojnie król Jerzy V kategorycznie odrzucił sugestię ks. Walji nawiazania jakichkolwiek stosunków ze swoim ciociętnym bratem.

Natomiast, jak się okazuje, Jerzy V i Mikolaj II, których zdumiewające podobieństwo doprowadzało do tego, że ich własne rodziny rozpoznawały ich na bankietach i deklachach tylko po mundurach, znali się bardzo mało. Spotykali się zamłodu najczęściej na dworze kopenhaskim; odjak Mikolaj wstąpił na tron, rozmawiali zaledwie parę razy. Ostatni raz widzieli się w Wilhelma w r. 1913. Z pamiętników Jerzego V wynika, on — silny instynkt rodzinny, — był bardzo zgnębiony jego śmiercią, lecz właściwie nie miał zdania i bodaj się nie interesował powodami jego tragicznej doli. A dla historyków pozostanie zawsze zagadką jak się to stało, że dwaj kuzyni, tak bardzo podobni i fizycznie i nawet duchowo, mieli panowania i zgony tak różne.

Tę zagadkę wyjaśniają, zdaniem moim, trzy czynniki. Po pierwsze, różne wychowanie. Król Jerzy V nie wychował się w atmosferze bizantyżmu, odciety od świata i własnego narodu, lecz jak zwykły, młodszy syn dużej ziemiańskiej rodziny angielskiej. Mikolaj II był najpierw cesarzem, potem Rosjaninem, Jerzy był naprzód angielskim gentlemanem, potem dopiero monarchą.

Po drugie, fatalniejszy wpływ na Mikolaja miała histeryczna Aleksandra Fiodorowna, na Jerzego najlepszy — jego rozsądna, rozumna, spokojna i ultra-angielska małżonka, królowa Mary, czyli May, jak ją nazywano w kole rodzinnym. Mikolaj ze swą rodziną żył w średniowieczu, czł na księżycu, Jerzy V z królową Mary miał normalny home angielski, taki sam jak miliony jego poddanych.

Wreszcie Mikolaj był samodzielnym, Jerzy — monarchą konstytucyjnym. Bardzo byw może, że gdyby Jerzy był despotą i miał sam rządzić olbrzymim imperium, też doprowadziłoby do katastrofy. Na szczęście rola jego ograniczała się do roli symbolu, do czego jego zdolności i uposobienie całkowicie wystarczały. Nie tylko wystarczały, ale nawet sprawiły, że był idealnym konstytucyjnym monarchą, do tego stopnia, iż ruch republikański, który w Anglii był zawsze słabutki, słabiutki, ale jednak za Wiktorji i Edwarda istniał, za jego panowania całkowicie wygasł. Za panowania Jerzego V podstawy monarchji tak się wzmocniły, że korona bez szwanku przeżyła ciężką próbę abdykacji Edwarda VIII, a teraz, za Jerzego VI, stanowi najsilniejszy węzeł całego imperium, jego symbol, jego dumę i jego wspólne ukochanie.

KRZYSZTOF NIENASKI.

Rehabilitacja króla Leopolda

W połowie czerwca zakończył się proces o obrazę czci, wytoczony przed sądem królewskim w Londynie przez admirała Sir Rogera Keyesa przeciwko wydawcom „Daily Mirror”. Keyes był przydzielony do osoby Leopolda belgijskiego w chwili napadu wojsk niemieckich na Belgię dn. 10 maja ub.r. „Daily Mirror”, zarzucając Królowi zdradę spowodowaną kapitulacją, obarczyło współwina Keyesa, który swojego czasu po powrocie do Anglii domagał się odroczenia wszelkiego sądu o decyzji króla Belgów do chwili uzyskania dokumentów w tej sprawie. Po tej linii poszło oświadczenie premiera Churchilla w Izbie Gmin.

W wyniku przewodu sądowego wydawcy „Daily Mirror” nie tylko przeprosili admirała Keyesa, lecz również złożyli publiczne oświadczenie, że byli wprowadzeni w błąd i że na króla Belgów nie może ciążyć jakikolwiek zarzut spowodowany kapitulacją armji belgijskiej.

Fakty historyczne, ustalone przez sąd, wyglądają jak następuje. Król Leopold w chwili inwazji Belgji oddał siebie i swoją armję pod rozkazy naczelnego dowództwa francuskiego i w ciągu całej kampanji spełniał ściśle rozkazy tego dowództwa. Dn. 20 maja armja brytyjska i północna armja francuska otrzymały rozkaz przygotowania się do przeobrażenia się w kierunku południowo-zachodnim w celu odzyskania kontaktu z głównymi siłami francuskimi; stało się wówczas jasne, że w razie niepowodzenia, grozi zerwanie kontaktu pomiędzy armją brytyjską a belgijską.

Admirał Keyes zawiadomił króla Belgów o rozkazie i skolei otrzymał od niego polecenie zawiadomienia rządu brytyjskiego, że armja belgijska nie porzuciła ani czołgami ani samolotami, ponieważ jej przeznaczenie było wyłącznie obronne. Król uważał, że nie ma prawa narażania armji brytyjskiej na ponoszenie zbyt wielkiego ryzyka w celu utrzymania kontaktu z armją belgijską, i dlatego prosił o niepozwolenie rządowi brytyjskiemu najmniejszej wątpliwości, iż na wypadek blizkiej klęski pomiędzy obydwiema armjami, kapitulacja armji belgijskiej byłaby nieunikniona.

ADAM ROMER.

Jeszcze raz Francja

Praca André Simone p.t. „J'accuse”¹⁾ jest robotą bez polotu, czeza, spisana byle jak. „J'accuse” jest typowym produktem pośpiechu. Nie przynosi ona żadnego nowego poglądu, poza uszeregowaniem zdarzeń, i to bez troski o hierarchię ich ważności: plottki i osobiste wspomnienia wlażą na historię.

„J'accuse” wydaje się nam jeszcze dobrą robotą w zestawieniu z książką „Truth on the Tragedy of France” Elie J. Bois²⁾, albowiem jest przynajmniej zwięzła. Praca dziennikarza paryskiego, który — niebawem właściwie wiadomo dlaczego — wyróbił sobie dobre imię jako wielki znawca nie tylko spraw francuskich ale i polityki wogóle, jest pretensjonalna, okliwa, balałutna, od napuszonej dedykacji począwszy na końcowym akordzie skończywszy. Jest to jaskrawy przykład, że doskonały dziennikarz bulwarowego pokroju — jako redaktor swojego pisma Bois ma istotne i trwałe zasługi — potrafi być lichym autorem. Chwytli, które udają się na lamach dziennika, zawożąc załusne w książce, „Truth on the Tragedy of France” nie jest żadną rewelacją, chociaż zapowiada niewiadomo jakie odkrycia. Pełno w tej robotce sentymentalizmu, teatralności, typowej „wody” — szkoda doprawdy, że tłumacz angielski nie pohamował gadulstwa Francuza.

Najciekawsze może są uwagi o wstępnych dniach konfliktu. Bois zatrzymuje się dłużej nad usłowaniami Bonneta, żeby „wymagać się” od wojny. Warto sobie przypomnieć, że Włochy czyniły niebywale wysiłki, żeby przerwać wojnę polsko-niemiecką i żeby doprowadzić do nowego Monachjum. Mussoliniemu śniły się podwójne laury: zbawcy pokoju, i to w chwili gdy rozpętała się już wojna tak długą wiszącą nad Europą, i pośrednika, któryby wywindował niebywale wysoko w oczach Europy swój prestiż meza stanu. Rzym sugerował Francji dn. 2 września 1939 r. zwołanie konferencji w ciągu dni najbliższych, przeczem oczywiście armja niemiecka zatrzymałaby się na osiągniętych przez siebie linjach. „Rozwiązanie sporu niemiecko-polskiego” — powiada nota włoska — musiałoby być korzystne dla Niemiec biorąc pod uwagę obecną sytuację”. Wydaje się, że Hitler miał nadzieję, iż akcja włoska uda się: dlatego właśnie śpieszył się niebywale w pierwszych dniach, chcąc pochwycić maximum terenu Polaki. Rozwiązanie, jakiego Rzesza przedstawiała, przypominałoby mocno manewr w stosunku do Czechosława: pożarcie w dwóch ratach Polski, przyczem druga część akcji niemieckiej podlegałaby bodaj szybciej i to pod temi samymi pretekstami (gnębienie ludności niemieckiej w okrojonej Polsce); Rzesza — podobnie jak w stosunku do Pragi pomocnackich — nie dopuściłaby do gwarantowania przez Zachód kadłubowej Polski.

Bois cytuje ambasadora Włoch w Paryżu Guariglie, który w październiku 1939 r. powiedział otwarcie: „W Paryżu panuje silny prąd opinii na rzecz rychłego pokoju”. Analiza jego nie była napewno fałszywa; potwierdza ona jednak równocześnie tezę, że Włochy starały się jeszcze w jesieni 1939 r. sikłonić Zachód do wejścia w konszachty z Hitlerem.

Ponura rola, którą odegrał Bonnet, jedna z najpodzielszych i najfałszywszych figur małego kalibru, jakie znają dzieje dyplomacji europejskiej, uwydatniona jest niejako przez książkę Bois. Bonnet był typowym człowiekiem małym, nadmiernie małym, którego los postawił w ośrodku najbardziej doniosłych decyzji Europy w najbardziej krytycznej chwili. Małosić i niedła moralna tego osobnika jest dowodem, że Francja zatracała wszelkie poczucie samobrony. Bonnet niewątpliwie dał „carte blanche” Ribbentropowi (w czasie rozmów paryskich w zime 1938 r.) w sprawie Polski i całego wschodu Europy. „Złotej książce” Bonnet stara się zatrzeć ślady zbrodni: usłwa dewotne Couloudre’a, ambasadora Francji w Berlinie, — najinteligentniejszego dyplomaty Francji lat ostatnich, dyplomaty z wizją rzeczy — w której to depeszy Couloudre raportuje, że Ribbentrop skarzył mu się, iż został oszukany, albowiem Bonnet dał mu wolną rękę w sprawie Europy wschodniej.

Bois cytuje wielkie obszernie przeznaczenia polskiej dyplomacji. Przypatrzcie mianowicie słowa raportu Juliusza Łukasiewicza, ambasadora Rzeszy w Paryżu, który dn. 17 grudnia 1938 r. skreślił następujący osąd: „Jeżeli Francja zmuszona będzie do honorowania warunków sojuszu francusko-polskiego, będzie czyniła znacznie większe wysiłki, ażeby uwolnić się od tych zobowiązań aniżeli je wypełnić... Od czasów Monachjum polityka francuska gra rolę człowieka pokonanego, zbyt słabego, żeby zerwać poprzednie zobowiązania międzynarodowe, a równocześnie zbyt słabego, żeby wykonać je z odpowiednią energią... Krótko mówiąc, politykę francuską cechuje całkowita bierność i defetyzm”.

W tym smutnym zespole neurasteników, słabszych, oszustów i fałszywych grających, który stanowił o polityce Francji, wybijają się dwie postaci: Paul Reynaud i George Mandel. Reynaud był opanowany ambicją zbawcy Francji, posiadał zapal i pracowitość, ale przyszedł do zbankrutowanego przedsiębiorstwa. Patetycznie brzmia jego słowa wypowiedziane do autora książki: „Zapewniam pana, że wygram tę wojnę. Wygram. Pan rozumie? — wygram”. Los Reynauda jest tragiczny, podczas gdy los wszystkich innych polityków Francji jest tylko niedojny, godny pogardy. Zaden z nich nie posiada piętna tragizmu — wszystkie noszą cechy lekkie malosi. Tragedja Reynauda potęguje się przez to jeszcze, że i ten człowiek, który chciał być silny i mocny, podkopany był przez fatalny romans, rozprzegający jego siły. Sypialnia odbiła się raz jeszcze na dziejach Francji, ale w tej agonji Francji nowoczesnej moment ten nabiera posmaku „Grand Guignola”.

Książka dziennikarza austriackiego Oscara Paula „Farewell, France”³⁾ nie jest zbyt pouczającym dokumentem. Autor, jako socjalista, zajmuje się głównie stosunkami w świecie robotniczym Francji: uważa Bluma za wielkiego meza stanu (z tem, do prawdy, trudno się zgodzić). Osobiste wspomnienia ucieczki z Paryża przeplatają się z uwagami natury ogólnej: ani te ani tamte nie są oryginalne.

Najbardziej przekonywające brzmią te strony relacji Paula, gdzie mówi o zaniedbaniach maszyn przemysłowej Francji. Maszy-

na ta była niewątpliwie zardzewiała, jeżeli zaś chodzi o produkcję wojenną, zupełnie śmieszna. Ma też rację Paul, kiedy mówi o przestarzałych spojeniach struktury społecznej Francji — dramatem Francji było to właśnie, że te wszystkie zaniedbania wyszły najaw w chwili, kiedy Francja nie mogła sobie pozwolić na reformy społeczne. „Front Populaire” miał wiele racji w swoich planach, ale wszystkie one spadły na Francję w czasie kiedy powinna była pracować, zrobić wszystko dla unowocześnienia swojej produkcji. Nie wiem, czy Paul ma rację, kiedy daje rady na przyszłość, powiada, że po zwycięskiej wojmie trzeba będzie apelować do Francji szarego człowieka, do robotnika i do wsi — gdyż burżuazja francuska jest przebrzmiałym rekwiiztem. Fakt jest, że we Francji nie zostały obudzone nowe siły, że klasa robotnicza nie była wciągnięta w rytm społecznego życia i że klasa rządząca — kapitał i burżuazja — przegrała.

Podobne stanowisko jak Paul zajmuje dziennikarz paryski Louis Lévy w broszurze „The Truth About France”⁴⁾. Stara się on udowodnić że żołnierze francuski bil się dobrze, że dowódcy niższe były rzetelne i że cała suma bohaterstwa została zamarnowana przez zbrodnicze nieprzygotowanie sztabu, przez złe uzbrojenie, przez lekceważenie nowoczesnego pojęcia walki. Niektóre szczegóły raportu Lévy’ego — dotyczące walk wokół Rethel — są interesujące, ale książka nie daje wizji całości i jest jednostronna.

Inaczej z dwiema książkami całkowicie odmiennego rodzaju, ale dobrze się uzupełniającymi: Alexandra Wertha „The Last Days of Paris”⁵⁾ i Ruperta Downinga „If I Laugh”⁶⁾. Są to doskonałe raporty, żywe, ludzkie, dobrze zorientowane, spokojne w narracji, przejrzyste. Werth jest dziennikarzem wysokiej klasy, który ma za sobą trzy rzetelne studia książkowe na temat Francji („France in Ferment”, „The Destiny of France”, „France and Munich”); wskazywały one, że Werth widzi trafnie niebezpieczne skazy i pęknięcia na gmaczu Francji. Downing jest dziennikarzem niepolitycznym, kokietującym film, a jego opowieść jest bardzo osobista. Talent sprawia, że z tej osobistej przygody otrzymujemy obraz Francji ogarniętej paniką exotyzmu.

„The Last Days of Paris” rozpada się na dwie części: pamiętnik, kreślony w gorących dniach od 10 maja 1940 r., i polityczny „epilog”, gdzie autor stara się zrozumieć przyczyny upadku Francji. Pamiętnik daje wgląd w katastrofę: widzimy apatie mas, głuportę urzędowej propagandy, pognebanie wszelkiej krytycznej myśli, upajanie się wygodnymi hasłami. Werth notuje te wszystkie fakty logicznie, trzeźwo, z wyuczonymi wrażliwościami. Pamiętnik jego cechuje atmosfera szczyku i śmierci — Paryż, który skiepuje nam jakby mimochodem, jest przejmującym pięknym urodą umierania.

Zasługa Wertha jest, że cofa nas w czasy dawniejsze: krwawych wypadków 6 lutego 1934 r., stawiskisdy, cagolardów. Widzimy jasno, że Francja była skłębiona nie od dzisiaj, że była krajem głęboko chorym, podmytnym rewolucją, że cały ład t.zw. demokracji parlamentarnej trzymał się poprostu jakimś cudem i że wszelkie hasła t.zw. radykalizmu czy socjalizmu straciły sens i znaczenie. Rządy i izba deputowanych zerwały kontakt ze społeczeństwem, Trzecia Republika była załozenie przeżyta — bo zabrakło wiary w nią, zabrakło sił, któreby ją podtrzymywały. Gdy się czyta te bityre uwygi Wertha, przypomina się słowa jednego z najwybitniejszych historyków nowożytnych Anglii: „Trzecia Republika była jednym z najosobliwszych systemów na świecie. Nikt, poza Bismarkiem, nie pragnął jej ustanowienia — nikt zbytnio się nią nie entuzjazmował w czasie 70 lat jej istnienia. Ciągnęła ona swój żywot tylko dlatego, że Francuzi nie mogli się pogodzić co postawić na jej miejsce”.

Werth daje nam cenne tło społeczne, wykazuje w skrócie grę sił — czy raczej słabości — w życiu wewnętrznym Francji. Jego analiza wojkowa wydaje się również trafna (dochodzi on do wniosku, że żołnierze polski byli si nieporównanie lepiej od żołnierzy francuskiego).

Koncowe wnioski Wertha brzmią raczej pesymistycznie: jeżeli rządy niemieckie we Francji nie zmienią ludności w „masę krow Anglii”, to Francja podda się magli Rzeszy. „Będziemy się wtedy mogli pocieszać nadzieją wyrażoną przez Czechowla, że za trzyzsta lat życie może być niesłychanie piękne”. Będzie nas to jednak tyle wszystko obchodziło co zeszlonożony śnieg?

„If I Laugh” — z tytułem zaczerpniętym z ironicznych strof „Don Juana” Byrona — jest doskonałą narracją, dowcipną, w miarę lekką, bardzo angielską. Exodus rowern przez Francję, perypetje dwóch rowerzystów na szlaku Paryż — Bayonne, orgie oficjalnej głuporty, fetyzyczny stempli i biurokracji, tępota kontroli „papierów”, szukania piątej kolumny tam gdzie nie trzeba — wszystko to stanowi załozny komentarz do owej zraty zdrowego instynktu i zmysłu przez umierającą Francję. Biurokracja przywalała ostacznie te wojne jeżeli chodzi o Francję; grzebano się w idyotycznych drobiazgach i papierkach, zamiast dopinować produkcji „If I Laugh” zdziera zasłone w wielu faktach, a w zwierciadle drobiazgowo pokazuje nam całe dno upadku. Ale śmiech książki jest prawdziwym śmiechem przez łzy: Downing kocha Francję, nierozważną, opętą, wykołowaną. Kocha ją, wśleka się na nią, ponosi go pasja anglosaska, ale oderwanie się od niej jest dla niego ciosem.

Obie książki łączą ta właśnie uczuciowa nie miłości do Francji. Werth opisuje swoje ostatnie chwile w Paryżu pieczołowicie, ciepło, jak ostatnie chwile z kochanką — jego osobiste uczucia do ludzi, o których napomymka, to tylko akompaniament do wielkiego uczucia, do pasji, która zwie się Francją. Miłość Downinga jest mniej „owozanego charakteru, stara się samą siebie osłabić przez słowa płoche, dowcipy, ale jest to miłość najszerszej próby.

Nikt nie wie, jaka Francja dzwignie się z niemości rozbicia. Nikt nie wie, kiedy się to stanie, nikt nie wie, czy przez Franc

0 Sowietach w czasopismach angielskich

Napad Hitlera na Rosję postawił Sowietów w szeregu państw walczących z Niemcami, nie przekształcił ich jednak automatycznie w sprzymierzonec Wielkiej Brytanji. Wprawdzie wszystkie poważniejsze odłamy opinii publicznej uważają zgodnie, że Rosji należy udzielić wszelkiej możliwej pomocy, ale duża rozbieżność panuje w ustosunkowaniu się uczuciowemu do Sowietów.

Poważny tygodnik „The Spectator” z dn. 27 czerwca pisze: „Podczas gdy chłop rosyjski zastępuje mu całą sympatię, jaką okazał mu premier w niedzielnym przemówieniu radjowym, rząd rosyjski na żadną sympatię nie zasługuje. Od samego początku okazał on całkowitą obojętność wobec wszelkich zasad z wyjątkiem zasady oportunistycznej. Poza napadami na Finlandję, wybaczył on Niemcom najazd na Polskę, sam zagarniając pod tego kraju, wymusił Besarabję jako cenę zgody na niemiecką okupację Rumunji, wobec Turcji zachowywał się zmiennie i niepewnie, nie ruszył palcem, by ocalić Bułgarię przed penetracją niemiecką, nie zaofiarował Jugosławii konkretnej pomocy poza spóźnionym i bezwartościowym paktem o nieagresji. Rząd sowiecki gotów był okupić się Niemcom placówką niemal każdą cenę. Nie mógł on uwierzyć — aż do chwili gdy nastąpił ten niewiarogodny fakt — że Hitler może wybrać raczej walkę niż targi”.

Socjalistyczna „Tribune” z dn. 27 czerwca jest za udzieleniem Rosji pełnej i natychmiastowej pomocy, nie może się jednak powstrzymać od następującej uwagi: „Obecna okoliczność stanowi dużą pokusę, by powiedzieć „dobrze huncfotowi” i by przyglądać się z sardonizmem uśmiechem zadowolona jak Stalin stawia czoła całej potędze niemieckiego ataku, który wskutek jego polityki musieliśmy tak długo odparować sami. A brytyjska partja komunistyczna dostarcza nam pewnej komicznej pociechy, wywracając jeszcze jednego koziołka”.

Na łamach sympatyzującego z lewicą „New Statesman and Nation” z dn. 28 czerwca znajdujemy artykuł socjalisty Harolda J. Laskiego, który wysuwa postulat nawiązania ścisłego kontaktu kulturalnego między Sowietami a Wielką Brytanią, na czym jego zdaniem, obydwie strony mogą tylko skorzystać. Poza tym programem na daleką metę, Laski domaga się natychmiastowej i wydanej pomocy dla Rosji.

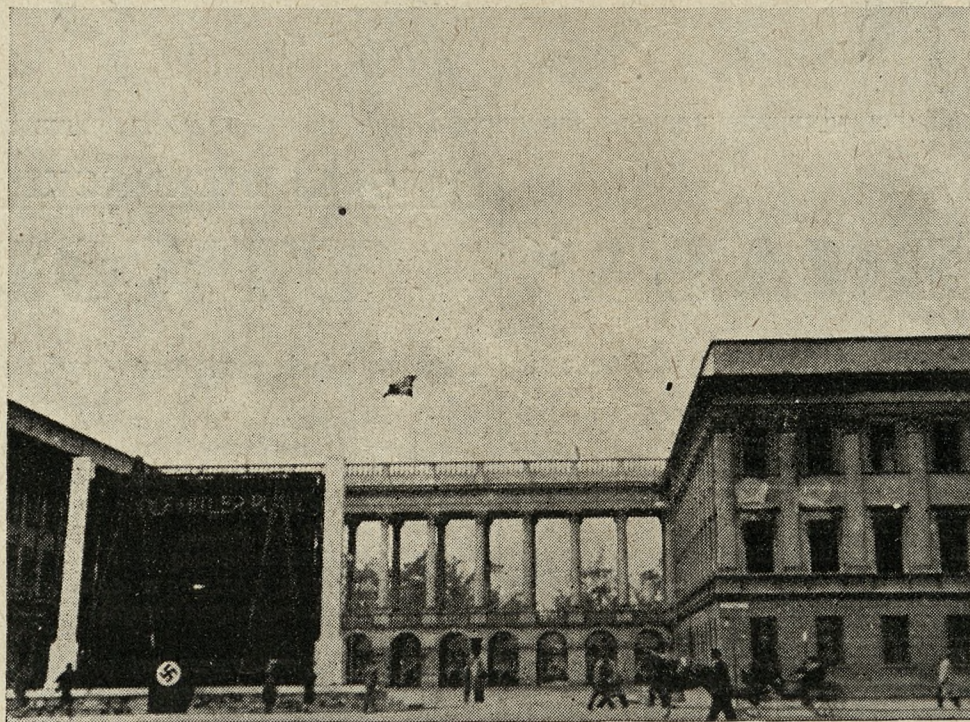
W tem samem piśmie znajdujemy dwa znamienne listy. W jednym z nich G. B. Shaw stawia sobie mimowoli nagrobek jako publicysta polityczny. Znakomity autor dramatyczny krytykuje wszystkich i wszystko, z wyjątkiem Sowietów, i pisze, że jego błędne przepowiednie spowodowane

były mylną wiarą, że inni są równie mądrzy jak on sam. Shaw kończy swój list następującymi uwagami: „Rzecz dziwna, Stalin nie nadużył swego zwycięstwa nad Finami tak jak północne stany amerykańskie nadużyły swego zwycięstwa nad południowcami, a Clemenceau i Poincaré wraz z demokracją brytyjską nadużyli zwycięstwa z r. 1918. A co będzie jeśli Stalin sprzeciwi się abyśmy nadużyli następnego zwycięstwa, gdy pokona on dla nas Hitlera!”.

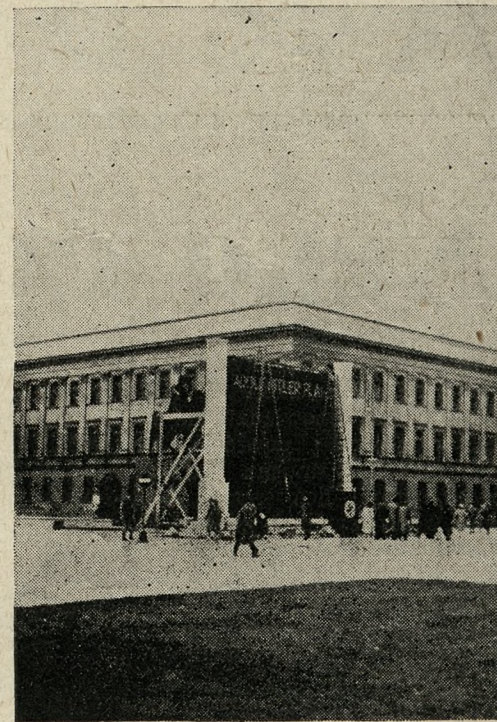
Drugi list pochodzi od znanego marxysty Toma Wintringhama, który walczył po stronie republikańskiej w Hiszpanji. Wypowiada on szereg słów prawdy pod adresem trzeciej międzynarodówki, wypominając sabotowanie przez nią wysiłku wojennego. Wintringham kończy następującymi słowami: „Wiele jest do zrobienia, towarzysze. Stoimy w obliczu wielkich nadziei i szerokiej możliwości. Najlepsze nadzieje i największe szanse leżą jednak w całkowitem i szybkim oczyszczeniu brzydkiej przeszłości, z równoczesnym odrodzeniem marksizmu, uczeni koleżeństwie oraz rewolucyjnym optymizmem”.

Katolicki tygodnik „The Tablet” z dn. 28 czerwca pisze, że „mocną stroną Wielkiej Brytanji jest fakt, iż nigdy nie zgodziła się na zniszczenie przez Stalina niepodległości państw bałtyckich. Następnie tygodnik przechodzi do omówienia sprawy polskiej i zaznacza: „Słowa współczucia dla Polaków, wypowiedziane przez p. Edena, są wyrazem uczuć całego świata chrześcijańskiego. Nawet przed tą nową próbą, Polacy cierpieli podczas tej wojny więcej niżeli jakikolwiek inny naród europejski. Dzisiaj kraj ich jest polem bitwy dwóch armii, które niedawno przeszły wspólnie podzieliły go i ograbiły. Istotnym dowodem szerszości Sowietów w ich współpracy ze sprzymierzonymi byłoby wycofanie przez nie pretensyj do tej części Polski, którą zajęły dwadzieścia miesięcy temu. Gen. Sikorski w bardzo zgrębnym oświadczeniu... zdaje się sądzić, że Sowiety zrobią ten krok. Najwyższa Rada Sowietów powinna uznać za nieważne wszelkie historyczne rozbiory Polski, tak jak to zrobiła we wrześniu r. 1918. Gen. Sikorski podsuwa im deklarację z r. 1918 jako precedens, a napewno nie zapominał on o nowym ataku sowieckim, który tak szybko nastąpił po tej deklaracji i w którego odparciu, pod Piłsudskim, odegrał tak wybitną rolę. Natychmiastowe zwolnienie trzystu tysięcy polskich żołnierzy więzionych w obozach dla jeńców, to minimum tego co Rosjanie mogą zrobić. Rząd brytyjski mógłby wyrwać nacisk, aby nastąpiło to natychmiast. Ale państwo polskie musi zostać odbudowane... Świadectwem naszego zwycięstwa lub klęski będzie to, czy uda się je nam odbudować”.

PLAC PIŁSUDSKIEGO PLACEM HITLERA



Od dn. 12 września ub.r. pl. Józefa Piłsudskiego w Warszawie nosi nazwę pl. Adolfa Hitlera. Zdjęcia niniejsze, otrzymane niedawno, ukazują przygotowania do „uroczystości” przemianowania placu.



Nowość!

Bolesław Leitgeber
LONDYN
oblicze i maska

z rysunkami autora

Tamiza—Święci Piotr i Paweł—Parasol 8 milionów—Panowie i gmin—Prasa, Temida i Muzy—
Wieś w środku miasta—Kretowisko City—Wiek farmazonów—Camden Town i „China Town”
—Narodziny nowego Londynu

Cena 4/6 (opr.)

Do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD., LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1. PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate.

Nowość!

Trzy głosy o Mickiewiczu

1827
... Czego też już nie dokazują romantycy! czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny i, jak Don-Quizoty, wszędzie ogłaszają, że ich zadaniem jest napastować. Godziło się wydrukować im i przypominąć bajkę Niemcewicza „Niedźwiędź, malpa i świnią”. Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem „Stary i młody”, wystawiając, że, mimo przetrwanie starego, młody widząc, jak osiel, pedzony przez muchy, przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak i t.d. Sonaty Mickiewicza najlepiej oznaczyl Mostowski jednym słowem: „paskudztwo”. Nie wiem, co w nich można znaleźć dobrego? wszystko bezczelne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest coś raz gorsze, niż wszystkie Marcinkowskie płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy, Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który, naprzekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatuwał słowa niepojętego języka niepojęte i dzikie pomysły bajki. Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisał nie powinien, Mickiewicz myślał nie umie. Marcinkowski w miłośkach jest płaski i olbrzymi prostak, Mickiewicz brudny, karzeźmany; Marcinkowskiego imaginacja ciężka i tępa rozkołysała w niesformość. Dziadziła lubelskie, Mickiewicza niesformy zapal rodmuchały brudne luteuskie powłaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieumiem, Mickiewicz z pychy i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezją, brudny farfars, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cie, abyś mi chociaż jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił. Eris mihi magnus Apollo... Wylączam z tego wiersz pod tytułem „Wieczór”, w którym może się rozum czegoś domagać. Litwini tak są przejęci sławą swego emoryńskiego poety, że zaczęli wszystkie domy temi „Sonetami”. Walerjan Krasiński pędem rozmosi je wszędzie...
(z listu do Franciszka Morawskiego z marca 1827 r.)

KAJETAN KOZMIAN.

1830
... Biedna Polsko, biedna! to pan Mickiewicz twojej literatury ma być reprezentantem, tej literatury, która zaszczyt nie tylko tobie, ale całemu plemieniu Sławian przynosi, jako tchnąca jedyną w dziejach ludów ucywilizowanych szlachetnością, prostotą, godnością. Teraz o wiekach średnich, o wspaniałach z Goethego nadawców, o cudzośćciach barbarzyńskich i demoralizacji tchnących czytają Polacy i to uwielbiają, zowiąc narodowością; i mrowie przechodzi nas, gdy o tem wspomnimy. Czułość zwarciowego kochanka Maryli więcej u nas na wagę, jak czułość ojca Urzuli, i Polacy przynajmniej są do sentymentów podobnych, zowiąc je narodowością. Zemsta Wallenroda za miłość ojczyzny jest poczytana. Nie, niemasz tam cnot wielkich, gdzie są wielkie namiętności; cnota do bósta, namiętność do zwierząt nas

zbliza. Byłże ten Wallenrod godnym krwi wielkiej Kiejstuta? Szczęście, że tylko w imaginacji pana Mickiewicza mógł podobny Litwin urodzić się. W Niemczech to szukać takich przykładów, niemieckiego ducha takimi obrazami karmić, krew napawać, widokiem mordów rozweleć: Polak i Litwin z obrydlivością to odrzuca, jak niegodne siebie. Wyżej on wiegła, wyżej widzi i jego uczucia są wielkie, wyobrażenia wzniosłe, niech się z nim Niemiec nie mierzy: biada temu, kto się zniża.
(„Gazeta Polska”, nr. 140 z dn. 27 maja 1830 r.)

1845
I gdybyśmy w ciągu historii naszej więcej takich, jakim jest Mickiewicz, mieli byli indywidualności, naród nasz nie byłby nigdy przeszedł do dzisiejszego poziomu. Mickiewicz uratował go od takowego przynajmniej w literackim względzie. Naród nasz choruje na brak indywidualności; a to tym, który nad powierzoną gminie głowę podnosi, wraga dala duszek i ciągnie w błoto, z którego sam dla własnej nieudolności wyleść nie może, a z osobistej pychy przez drugiego wyciągającym być nie chce. Kiedy przed dwadzieścia laty Mickiewicz stanął na grobie Polski, i jako geniusz narodu dźwiękiem pieśni swej poruszać zaczął prochy i kości ojców i wskrzeszać postacie zmarłej przeszłości, budząc do nowego, jedynomyślnego życia zniekane klęskami i walką drożnych ambicji, rozprzężone i podupadłe czasu swego plemię — podniosła przeciwko niemu — jak zaby Arystofanesa — wrzask zawiści i niedoświadczenia cała czereda zwolenników przekłębionego klasycyzmu, nie rozumiejąc ani ducha czasu, ani potęgi geniuszu, który wstąpił na widnokrąg poczynając odradzać się narodowej literatury. Mickiewicz, świadomy swego powołania, przejęty uczuciem swojej wyższości, przekonany o historycznej konieczności wziętego przez siebie kierunku, Mickiewicz mógł sumienia i bez obawy ściągnięcia na siebie zarzutu zarozumiałości, z dumą odprężyć powstałą przeciwko sobie krzykliwość a niepojętą zgraję literatów, krytyków, pamfletarzy, paszkwilarzy i tym podobnych piśmiaków, kładąc na czele jednej swojej w tym literackim sporze rozprawy owo pamiętne, przecinające na łeb porażające słowo: „Krykliwość”. „Nie pozwalam!” i, wielki na Pragę”. Ktoż dziś nie przyzna, że Mickiewicz miał rację? Kto powątpia, że nie chce być wyśmianym, pogadzać go z tego względu o zarozumiałość, dumę i uporczywość w zdanii? Zwyrodniał Mickiewicz odniesione na klasycyzm wywarło niewystęchny moralny wpływ na naród, bo było zwycięstwem ducha nad formą. Pod wpływem tym rozwijała się cała następna literatura; wpływ ten do dziś dnia nie ustał. Tylko geniusz, który ducha narodu nawskrósł przeniknął, zdołał być sprawcą takową w umysłach przemianę. Od Mickiewicza liczyć się też będzie nowa epoka literatury polskiej.
(„Rok”, 1845, III)

WOJCIECH CYBULSKI.



(„New York Daily Mirror”)



(„Natal Daily News”)

Gdy Kemal Atatürk, który był indyferentem religijnym, — pisał „New Statesman and Nation”, — poznał się z tym światem, jego następcą, prezydent İnönü, który także jest indyferentem religijnym, uznał za wskazane wyprowadzić mu muzułmański pogrzeb. Ostatcznie nie mogło to zaskodzić, a może jest coś prawdy w twierdzeniach o życiu pozagrobowym. Podobnie İnönü nie pokłada wiary w pakt z Hitlerem, ale przecież nie mógł on zaszkodzić, a na wszelki wypadek...

„Hitler który umie przemawiać do serc i sumień ludzkich, poruszył serce narodu i rządu tureckiego” (minister spraw zagranicznych Turcji).

Bruce Lockhart, znany dziennikarz i pisarz angielski, objął stanowisko kierownika propagandy zagranicznej. Zdobyl on duży rozłos książką „Memoirs of a British Agent”, osnutą na tle doświadczeń zebranych w

Moskwie, gdzie podczas poprzedniej wojny kierował specjalną misją brytyjską. Bolsewicy uwieźli go na Kremlu i dopiero po pewnym czasie wymienili na Litwinowa. Rzecz znamienita, że przyczyną ta nie osłabiła prorosyjskich sympatii Lockharta, który konsekwentnie nawoływał do zbliżenia między Londynem a Moskwą.

Oficjalnie Lockhart będzie jednym z podsekretarzy stanu w Foreign Office, jego praca będzie jednak polegała na kierowaniu propagandą zagraniczną ministerstwa informacji.

„Orzeźwiająco działa na nas przypomnienie, że mimo wszystko prawdziwa rewolucja rosyjska nie była bynajmniej dziełem bolszewizmu — bolszewizm rozpoczął się od Prusaka, Karla Marxa, i jedynie przy pomocy Niemców został wprowadzony do Rosji po upadku caratu” („Evening Chronicle”).

Opowiadają, że pewien artysta narysował karykaturę, przedstawiającą Churchilla, który jedną ręką rzuca Mussoliniego na kolana, a drugą pora się z Hitlerem. Pragnąc zapewnić sobie wyłączność tego pomysłu artysta zwrócił się odpowiedniego urzędu, który zażądał od niego rysu wszystkich osób przedstawionych na rysunku.

Często słyszy się głosy, że wskutek wojny wolność prasy musi ulegać silnemu ograniczeniu. Jeśli chodzi o kraj, w którym demokracja nie jest tylko hasłem burzliwym, ale rzeczywistością, wojna mało co zmieni. Świadczy o tem m.in. następująca cytata z tygodnika „Tribune”: „...kampania sprzymierzonych w Syrii. Oto brytyjski „blitz” w akcji z całym rozmachem i rozpędem wojny krymskiej. Idziemy naprzód, mijając w dzikim pędzie niezliczone żółwie, ściśle stoczące się do starych zasad wojowania, mocno trzymające się ziemi, posuwając naprzód naszą „linję”, atakując forty i t.d.”.

„Trudno będzie znaleźć szybką drogę powrotu do Moskwy dla Sir Stafforda Crippsa. Jakżeż może on dotrzeć do stolicy Sowietów bezpiecznie i zarazem szybko?” (rozdźwięcia Zees).

Kilka dni temu minęła setna rocznica powstania znanego na całym świecie biura

podróży Cooka. Jego nazwa nie wywodzi się bynajmniej od sławnego żeglarza, kapitana Cooka, który znał wszystkie morza, ale od skromnego tokarza z hrabstwa Leicester. Thomas Cook, w chwilach wolnych od pracy, zajmował się działalnością społeczną, był mianowicie członkiem organizacji abstynentów. Raz wypadło mu przebyć pieszko 24 km w drodze na zebranie. Cook najwidoczniej nie lubił chodzić, i ten spacer nasunął mu pomysł zorganizowania tanich wycieczek kolejowych.

Okazało się że był to pomysł bardzo szczytliwy. Już po dziesięciu latach Cook mógł się poszczycić przewiezieniem 165 000 turystów na wielką wystawę londyńską. Do rozległej działalności Cooka należało m.in. organizowanie pielgrzymek muzułmańskich z Indji do Mekki.

Obecnie firma ta zajmuje się przesyłaniem korespondencji prywatnej do krajów okupowanych przez Niemcy.

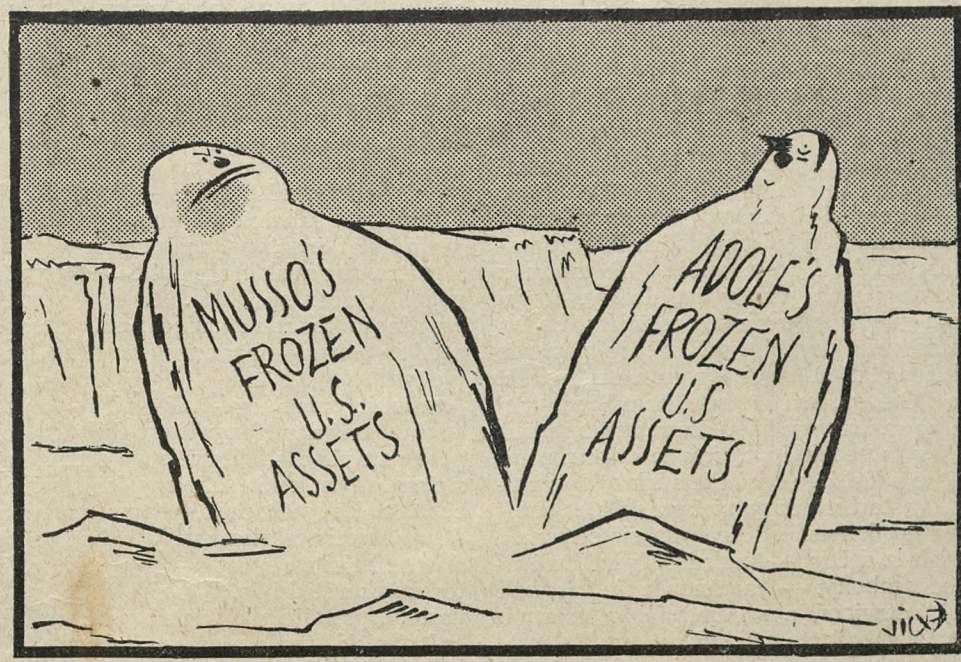
Niedawno poczta brytyjska wprowadziła nowy system przesyłania listów do żołnierzy armji Bliskiego Wschodu. Listy są fotografowane na taśmie filmowej, którą samolot zabiera do Kairu. Tam z filmu robi się powiększenia, i adresat otrzymuje fotograficzną kopję listu w normalnych rozmiarach. System ten pozwala na ogromną oszczędność w obciążeniu samolotów.

Ale... nie jest to bynajmniej system nowy. Z dokumentu znalezione niedawno w jednym z archiwów londyńskich wynika, że już siedemdziesiąt lat temu poczta francuska fotografowała listy na bardzo cienkiej bibule, którą przesyłano drogą lotniczą, za pośrednictwem... gołębi.

Anglicy nadają swoim samolotom przemawiające do wyobraźni nazwy. Do boju z Hitlerem ruszają „Hurricane’y”, „Spitfire’y”, „Tornado’y”, „Liberator’y” i t.p. „New York Times” uważa, iż także pod tym względem R.A.F. ma przewagę nad innymi lotnictwami. Jeśli bowiem Amerykanie przeciwstawiają Rzeszy groźne brzmienie Consolidated PB-5, to przecież Niemcy łatwo mogą wymyśleć Junkers 77UVB/K/X3.

„Bunt przeciwko tyranji jest posłuszeństwem wobec Boga” (Benjamin Franklin).

ALFA.



(„News Chronicle”)

po zamrożeniu kapitałów państw osi w Ameryce

Tel. REGent 1008
AIREY & WHEELER
129, REGENT ST., LONDON, W.1
Krawiec wojskowy i cywilny
Mamy zaszczyt obsługiwać wielu
naszych polskich przyjaciół
Wysoka jakość — ceny umiarkowane

KORESPONDENCJA

PRZELAMANE MILCZENIE

Do redaktora „Wiadomości Polskich”

Chcę Panu podziękować za „Skrobie ziemniaki”, za „Księgi kasowe pielgrzymstwa polskiego” i za ogłoszenie zbiorowej recenzji z pamiętników p. Marszałkowej Piłsudskiej. Nareszcie przełamaliście długie, za długie milczenie o Marszałku! Tylko czemu Pan w swoich artykułach używa „oratio obliqua” — zamiast nazwać Marszałka po nazwisku? Jestem przekonany że jestem wyrazicielem opinii wielkiego procentu uchodźców; dla nas Marszałek pozostanie zawsze tym wielkim człowiekiem, który walczył o niepodległość i wywalczył ją — a nie Jego to wina, że następcy nie potrafili jej utrzymać.

Jako jeden z Jego żołnierzy, kochający swego Wodza, uważam walkę z cieniami Marszałka za objaw małości, za jeden z najboleśniejszych objawów naszego wygnanego życia i czarną plamę na i tak ciemnym horyzoncie.

Inż. TADEUSZ BARZYKOWSKI
(Raston).

T. Strz. Dziękujemy za pochlebną dla „Wiadomości” sugestję, niestety, względy techniczne nie pozwalają nam na uwzględnienie propozycji Pana.

J. Sz. Dziękujemy za pamięć: rzecz jest zupełnie błaża.

J. R. Uwagi Pana przesłałamy autorowi artykułu.

Inż. mgr. Ad. J. Z artykułu w dalszym ciągu nie skorzystamy.

Por. Z. N. Suma ta wpłynęła (por. listę w nr. 67 „Wiadomości Polskich”).

Dr. K. K. Nie mamy możliwości sprawdzenia w danej chwili, jakie utwory Żeromskiego — poza „Popiołami” („The Ashes”) — były przełożone na angielski. — Za miłe słowa dziękujemy.

J. Ł. Z „Katastrofy” nie skorzystamy.

K. K. Z wiersza nie skorzystamy.

CZECHOSŁOWACY POLSCIE

Czasopismo „The Spirit of Czechoslovakia” poświęciło numer specjalny zagadnieniom polskim.

Znany przyjaciel Polski prof. W. J. Rose pisze o polskim realizmie.

Prezydent Beneš w artykule o nowej Europie środkowej wskazuje na konieczność współpracy polsko-czechosłowackiej, która doprowadzić może do stworzenia między Niemcami a Rosją wielkiego bloku politycznego o charakterze federalnym.

Dr. Ripka omawia polsko-czechosłowacką współpracę kulturalną.

Dr. Slávik zamieszcza wspomnienia z okresu swego pobytu w Polsce i podkreśla, że nawet w najgorszych chwilach kryzysu polsko-czechosłowackiego, społeczeństwo polskie zawsze okazywało mu sympatię.

Dr. Hejret omawia obszernie polską działalność kulturalną na uchodźstwie.

Pozatem znajdujemy w numerze wywiad z prof. Kotem oraz artykuły prof. Strömskiego i ks. pralata Kaczyńskiego.

Najslawniejsi tancerze świata noszą pantofle z firmy
ANELLO i DAVIDE
dostawcy Baletu Angielsko-Polskiego, „Arts Ballet”, „Sadler’s Wells Ballet” i Baletu Rosyjskiego
96, CHARING CROSS ROAD, W.C.2
Pracownia—98, Charing Cross Rd. TEL: 646 5019

Dyrekcja Polskiego Państwowego Liceum i Gimnazjum Żeńskiego im. Marii Skłodowskiej-Curie w Scone Palace, podaje do wiadomości że w dn. 15—31 lipca br. przyjmowane będą nowe zgłoszenia i zapisy uczniokandydatów do klas 2-jej, 3-jej i 4-jej gimnazjum oraz 1-jej liceum (ewentualnie do 1-jej gimnazjum, którego uruchomienie zależy od ilości zgłoszeń).

Podanie i dokładny życiorys wraz z przedaniem odbytej nauki powinny być nadesłane we wskazanym powyżej terminie do dyrekcji szkoły pod adresem: Polish Girls School, Scone Palace, by Perth.

„Szkoła Języków Słowiańskich, 20, Russell Square, W.C.1, zawiadamia, że biblioteka będzie zamknięta w dn. 2—16 sierpnia b.r. Nie będzie także dyżurny w sobotę rano w lipcu i sierpniu.

Eugenia Markowa (40, Lancaster Gate, London, W.2), opracowuje książkę o bohaterstwie kobiety polskiej w wojnie obecnej. Osoby, rozporządzające materiałami w tym zakresie, proszone są o skomunikowanie z autorką.

Redakcja „Wiadomości Polskich” prosi p. M. L. Ponikowską o podanie swego adresu.

Henryk Federbusch poszukuje kolegi Leopolda Lichta, urodzonego w r. 1919 w Samborze. Przebywał on w kwietniu 1940 r. w Bressuire (Francja). Wszystkie pisma polskie prozowane są o przedruk niniejszego.

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI
LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Mówi się wszystkim językami międzynarodowymi
Pracownia o zapowiedzi telefonizacji pod VI Czwier 9506

Kolo Opieki nad Żołnierzem w Londynie prosi czytelników „Wiadomości Polskich” o odnośnienie przeczytanych numerów do Kola Opieki nad Żołnierzem, 3, Bentinck Street, London, W.1. celem przesyłania ich do obozów i szpitali, gdzie znajdują się żołnierze-Polacy. Biuro Kola Opieki nad Żołnierzem czynne jest w środy i piątki w godz. 11—12.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Workshop Street, E.C.2; Published every Wednesday at 36, Great Russell Street, London, W.C.1.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem ośobiście lub drogą pocztową z receptami i wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(stacja dzienna i nocna)

Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED

Aptekarzy Jego Królewskiej Mości

143, New Bond Street

LONDON

W.1

SKARB NICA POLSKA

KAZIMIERZ TETMAJER

ZE „SKALNEGO PODHALA“

JAK JASIEK Z USTUPU, HANUSIA OD KRÓLÓW I MARTA UHERCZYKÓWNA Z LIPTOWA ŚPIEWALI W JEDNO SŁONECZNE RANO KU SOBIE

Jasiek z Ustupu siedzi w Ciemnych Smreżynach ku Zaworom. Z lasu on wychodził czarnego, gdzie taka gęsta leżała, że aż bojno było posłuchać. Nic się tam nie odezwało, tylko dzik zasuszczył w maliniakach, jeleni zbieczał gdzie przy wodzie krótkim, urwanym, gwałtownym bekiem, albo cietrzew zafurczał w gałęziach. Na prawo od Jaśkowej drogi huczała sikława z niżniego Ciemnosmreżynskiego Stawu w Piarzystej Dolinie. Tam kóz moc. Po Pośrednim Wierchu, po Cubrynie, po Liptowskich Murach chodzą kierdelami, jak owce.

Kozicki, kozicki, wtoredyz hadzajom?
W Dolinie Piorzystej, tam one bywajom!

— jest śpiewka.

Sucha, od piorunu uwiadła, czerwona limba popod Zawory rośnie, tam idzie Jasiek z Ustupu, a śpiewa po wesolemu, że zbójcka. Ale od zbójckiego wesela do szubienicy zawsze nie precz. Co zbójnik krok ukroczy, to ku niemu śmierć krokiem bliżej. Tak on śpiewał:

Ej moja freirecko, nie załuj mi gombi,
Ej bo mi już śmierztecka wysejrzuje zemby!

Ej moja freirecko, nie załuj mi dudka,
Ej bo mi już hań zwoni na zomečku kłódka!

Ej moja freirecko, nie załuj mi liska,
Ej bo mi sie hań z wiérsku iskrzy subienicka!

Ej moja freirecko, nie trzymaj mie w sieni,
Ej bo mi już na truhle tén jedlicke ścieni!

Ej moja freirecko, nie załuj mi ciála,
Ej bo mie pohowajom, ty bedzies płakała i...

Ej ha i...

Myśli on sobie, tak śpiewając, o Hanusi Królownie, która się w nim mocno zakochała i niczego mu nie odmawia, owszem, sama się tuli i choć się wstydzi, nie może westchnień miłosnego pragnienia zatłumić, kiedy są ze sobą na szopie przy Gasienicowych Stawach. Tam ona pasie krowy piękne, cisawe i czarne, siwe i czerwone. Nazywają się Brzezula, Cisula, Kawula, Łaciata, bo wiele na niej lat białych, czarnych i złotych, Siwula, i rozmaicie jeszcze inaczej. Piękne to są krowy, dobrze się pasą i dużo dają mleka. Miko też patrzeć kiedy, pozberkując spiżowymi dzwonkami, stąpają po zielonej trawie i mchach pomiędzy kosodrzewiny, skubią trawę i mech, lub ległszy rzędam, przeżuwają polknięty pokarm. Poją się one w czystym potoku, co z Zielonego Stawu spod Swinnicy płynie, a na noc zamykają do szopy, na której strychu jest posłanie Hanusi. Zasła ona teraz heć aż na Liljowe, poziera ku Tatrom i śpiewa kochającą:

Janickowa krasa rada owce pasa,
we dnie po dolinie, w nocy przy dziewczyne...

(Ale obecnie odbiegł on owiec w złodziejskim interesie na Liptowie koło Hradku).

Nie było, nie było nad wirsk zielony,
od orawskiej strony cisem porośniony.

Nie było, nie było nad Jasia mogo,
kiek go uwiadziła z wirsku zielonego.

Kiek go uwiadziła, jaze mi zagrmiało,
to moje serdeczko skrzydłem sie mi stało.

Skrzydłem sie mi stało, skrzydłem poleciało,
Na Jaśkowej części słoneczem zajaśniało

Poziořeioje, dziéwki, pozioreioje w pole,
Jako se Janick idzie między skole.

Darmo wy sie, dziéwki, w niego wpatrujecie,
Bo on ino jedno mnie widzi na świecie!

Wiedziała ona, że ku Jaśkowi wiele dziewcząt we wsi serce obraca. Nie wiedziała jednak, że w polanach popod Krywaniam, pod Dolną Wazeczką, skąd widać wysoki, pochylony zielony szczyt Krywaniam, potargane turnie Ostrej i Krótkiej i wyniosły, zębaty grzbiet Soliska, gdzie rosną ogromne trawy, człowiekowi pod pachy, i moc ziół i kwiatów bujnych i woniących, swobodnym słoneczem z ziemi [dobytych, piękna i smutna Marta Uherczykówna (z pokolenia tych Uherczyków, z których jeden Janosikowym towarzyszem był i przy jego boku w walce z żołnierzami cesarskimi zginął), serce swoje i młode i gębkie i pachnące żywica ciału ofiarowała Jaśkowi na miękkiach mchach w podkrywańskim lesie, w południowym spieku tego same, kiedy moko ludzi odchodzi, a członki same się wyrwyją do uścisku. Opowiadał on jej o swoim bogactwie, jako mu się sto w takich owiec po Kościelcu pasie, strzeżonych przez psy wielkie i silne, których jest sześć. I tem bogactwem ją załuskił

i przyniewolił. Naprawdę zaś miał on owiec sześć, a psa żadnego. Ale używszy jej skuszonej opowiadaniem krasy, odszedł i, co miał powrócić, nie wrócił. Więc piękna i smutna Marta Uherczykówna, której lica smagłe wyhodowała zimna woda kryniczna z Wazecznego potoku, a krągłe czarowne biodra wykołysał wiatr z Krywaniam wiejący, zna swoją dolę i śpiewa pełna żalu:

Hej Krywaniu, Krywaniu wysoki!
Płyną, lecą z pod ciebie potoki!
Tak się leją moje lzy jak one,
hej lzy moje, lzy niezapłacone...

Hej Krywaniu, Krywaniu wysoki!
Płyną, lecą nad tobą obłoki —
Tak się toczy moja myśl jak one,
hej te myśli, te myśli stracone...

Hej Krywaniu, Krywaniu wysoki!
Idzie od cie szum lasów głęboki,
a mojemu idzie żal kochaniu —
hej Krywaniu Krywaniu, Krywaniu!...

Zaś Jasiek z Ustupu, rad z siebie i wesoly jako zwykle parobek góralski, któremu się wszędzie równo zdaje i który się nie czuje idąc, wyszedł był właśnie na Zawory i pogląda ku polskiej stronie. Mało ma już drogi; przekleśnie po zbocz pod Walentkową, śmignie po trawach popod Swinnicę i już jest na Liljowie, skąd widać szafasy przy Stawach Gasienicowych i szopę Hanusina, gdzie jest słodko spać, a słodziej jeszcze nie spać. Rozejrzał on się wokół i tak sobie zaśpiewał, aż zahuczało po Gólech Wierchach nad Wierchichą i Koprową Doliną:

Hej! na mojej polanie sto owiecek stanie!
Ty moja dziewczyne, pozioreio se na nie!

Ej polana nie moja, owiecek nie było,
Ej ale mie śwarne dziewce załubiło.

Kohala mie jedna w podkrywańskim lesie,
Druga mi od Stawów serce w piersiak niesie!

Cekoj ze mie, Martos, w Wazeczej Dolinie.

Bo mi Hanka z zolu dobrze nie zaginie!

Wyzioreio mie, Hanus, przy tym Cymnym Stawie,
Bo mi pod Krziwaniam kwiołek zrósł na trawie!

Kany sie wywine, kany sie obróce,
Jedne se pociese, drugom se zasmutee!

Nie bedem pas owice, nie bedem robił nie:
Minon mie Mikulas, cos mi powie Wiśnie?

Ej niek mi ta powie, jako mu sie feialo:
Mojej fantazyji siedem zomków mało!

Powiadali na mnie: popuśe fantazyjom!
Jo jej nie popusem, hociaj mie zabijom!

Niek mi kat sablicku na oselce brusi;
Dy i orei w niebie jedno zginone musi.

Brusz ze mi, kaeicku, sablo na oselce:
Lepi brusi dziewce serce swe o serce i...

Tak on śpiewał, bardzo śmiały i nie dbający o wiele, ani o dziewczyny, których Pan Bóg nasył po świecie, jak jodeł, ani o życie własne, które i tak zabierze, a dbający tylko o honorność i uciechę życia. Tak śpiewał ku sobie w jedno słoneczne rano Jasiek z Ustupu i jego kochanka Hanusia od Królów i piękna i smutna, woniąca żywica Marta Uherczykówna z Liptowa, która na mchach podkrywańskich swoje młode ciału z miłości omgławające oddała.

ZA SYTKO

Przychodzi do mnie mój spółnik, Francisek Walos, i pado mi tak:
— Hłopi sie zbierajom, ksiądz wikaryj Kmiotowic i organisty Jandrusikiewicz wolałom na to i fcom wieść. Ze rzędu z Widnia pisma przysły na doliny, tamci hłopi panów mordujom i rabujom, bo im starostowie poopiznowali, że ig panowie mieli wybić do nogi i grunta im wzięść. Koło Gdowa, koło Bohnie, koło Saca, koło Tarnowa krew sie leje. Za ranego ślaciaka, cy to będzie i wto iny ze dworu, coby ino do pańskiego odzienia odziaty był, płam w starostaw po pięć reńskich, za zabitego po dziesięć. Krziwda sie strasna i zbrodnia dzieje, — krztał ksiądz Kmiotowic z ambony, — bo panowie sie gotowali na Austrujom, a z Austryje ig własny hłopów na nik zwyrtil. Pado ksiądz Kmiotowic: hybajmy sie łączyć s temi, co sie proci Austryje dzwignoné fcom, hybajmy bronić niewynik, bo co wto kie był winowaty, to je jest teroz, za tem raze, przez

winy! Wiem, żeście na tym kozaniu nie byli, to nie wiecie.

A jo na tym kozaniu nie béli, bok strasnie syna chorego miał, na łożnice. Ku temu baba mi w pologu leżała, Bóg dał dwoje odrazu, a jesse było troje, takiego drobiazgu. A bięda u nas była w halupie taka, co jus dokumentnie, sprawdy pedzieć, nie było co do gęby włożyć. A tu i zima twarda — i po drwa do lasu nie miał wto iść, widziało sie, co jus ino skapać.

A Francisek mi radziel:
— Biercie kose, Bartomieniu, hybajcie z nami, Polskom bronieć, pado organisty.

A jo mu nato tak:
— Wiés ty Franek, co? Kiebyś mie ty w Luptów, abo i do Polski ka pozwał, ka na jakim karcymie, abo na jaki pański dwór, coby my haństela piniondze, a jesse i pić przinieśli, hoć to grzych, weru na mój sto prawdu, joby s tobom sel! Bo kie Pombóg o mnie zabacył, to co jo mam o Nim pamiętać? Syn, wiés, nostarsy, ten, co mi robić pomagał, ino, ino; baba leży, przez mléka je, bo skąd, a tu to drowy przy cyckak — a hańto troje ino place, bo sie mu jesse fce. Krowy w oborze niéma, świni w hléwie niéma — nie trza ci gadać, bo wiés. Ostatnio bięda na mnie! I jo ci haw mom kose brać i por Gdów kajsi, cy pod Tarnów iść? Wieraześci! Powieź mi tak: „Bartek, pod! Krew nam spod obuhów jak woda śknie, caski lupać bedziemy, z brzuhów dobro wydermy, ale sie twoje dzieci najedzom“ — to pude! Ludziom wzięść, sobie dać — pude!

Ale nieg sie nie ino Galicyjo, ale świat cały wali — je wtoz tu do mnie s téj Galicyje przisel na moje bięde zazirać — co? Béli tu kie jaki pon spod Gdowa, cy spod Tarnowa? Prziniós mojemu synowi lyzke resolu, mojej babie krapke maki, moim dzieciom hleba? Jageś go widział, to powieź!

Poskrobał sie Francisek w głowe, markotno sie mu stało, bo wiedział, że prowde mówiem, a i luto mu mnie béli, bo i on hudonny béli. Poskrobał sie i gwazi:

Zol s tobie sie obzywo, boleś. Jo ci sie, bracie, nie cudujem. Ino ze to... Kiebyś béli słysał, co ksiądz Kmiotowic z ambony krztał, jako pote do nas przed plebanijom organisty Jandrusikiewicz radzieli... Kiebyś był słysał...

Spar colu na rękac — jaze mu ciężko béli od myśli, co mu je ksiądz i organisty w głowe nakładli, a jo tys głowe na rękac spar, bo i mnie ciężko od myśli béli, hej, widziało sie mi wte jesse nie tak, jako jemu.

I tak myślimy oba, jaze mój spółnik wstaje i pado:

— No, to bydyć zdrowi, Bartłomieniu, jo ide.

— S temi hłopami co idom?
— S temi.
— A baba, dzieci?
— Jako fcom. Hań mnie wola... Ostańcie z Pane Boge!
— Boze prowadz!

Dali my se renke, poseł. To béli rano, wcas.

W połednie wyselek jo przed halupe, bok jus ani wysiedzieć niemóg. Plac, jęk, gład, nędza, co jus nie tak, ale sie widziało, co ostatnio godzina przychodzi. Stojem przed izbom, słońce świeciło, patrzem — blyso! Idom hłopi z kosami, nasy haw ze wsi, Hoholowanie, a na przodku ksiądz wikaryj Kmiotowic i organisty Jandrusikiewicz z krzizami, Jandrusikiewicz przy sabli, a Mahajcoków Pieter z horengwion.

Idom, banda calo, mijajom mie. A jo stoję poprzed izbom i patrzem. Patrzem, patrzem, kie mie nie hyci drgowka! Zedrzalek telo, co cud, zmąciło sie mi w ocał. Kie mie coś nie hyci za krztóń, za serce! Kie nie ryknie coś se mnie, nie plac, ale tak, jak kiebyś wej krwimowi plakał! A ci idom, tak cyrniawa, hłop przy hłopie, sami nasy, haw z Hoholowa, Ani jo sie nie nazdał, co robiem, hipnonek w izbe, łapiem cieślice, cok jam miał, cuhe na kamizelke, krzicem do baby:

— Idem!
— Ka? — pyto sie.
— Pod Gdów, pod Tarnów, ka hłopi nasy idom, bronieć Polskom od Austryje!... Nie dokończył — dzwiga sie na pościeli, woło:
— A coz jo? A coz dzieci?
— Bóg nad wami!
— A syn?
— Nig skapie! To darmo! Jo musiem iść, syscy idom!

Ino telo jesse skrzicała: „Bartek!“ ale tak, jak kiebyś kure rznon — jo jus był w sieni!

Ostawił sykto, bięde, gład, chorosc, śmierć i mielowanie — lecem!

— Tuś? — pyto sie Francisek, kieś go doleciał.

— Tu! — padom mu.

Ścisnieni my sie za rence — hej, ono było ostatni raz. Zastompli nom Cornodonajanie z filancami, jogry, urzendnicy z miasat, że rzędu przisło: nie pusć Hoholowanów! Zrobiła sie bitka. Leja, Wawrzek, z wysnego kofca z Dónajca, zacion ciupać do głowy — Francisek spad na ziem, nie wstał wycyć!

A mnie wzieni, związali, pojehalék pote ze ziańdami w Nowy Targ, pote do Saca, pote na Spilberg. Haniek w heresie wysiedział styry roky. Kiek wrócił, wiećcie, co jak naloż? Nalożek syna pod ziemniom, dwoje dzieci pod ziemniom, dom Zyd wzion, a baba kejsi we świat s tym dwojem, bo to umreć nie fciało, i s tym jednym, co wyzyło, posła, nigda jek sie niedowiedział ka? Telo jek naloż. Ale mi nie zol — co jek cul wte, kiekiej w izbe hipnon, to mi do końca zycia zaplacio za sykto!

KAZIMIERZ TETMAJER.

MIKOŁAJ BIERNACKI (RODOĆ)

UTWORY SATYRYCZNE

Czy sąsiad czasem czyta?

— Czy sąsiad czasem czyta?
— Nic nie czytam i kwita.
Powiedz mi sąsiad pogo?
Na diabla mi czytanie!

Tylko teb, panie,
Te piśmidła kłokocą,
Ja zresztą, z książką w łapie,
W kilka minut już chrapię.

— Tak, nie przeczę, zapewne,
I ja też nieraz ziewnę;
Trudna bo na to rada;
Tylko że dziś te byki,
Te, te dzienniki
Krzyczą: szlachta upada!
Co gdzie szlachcie, to głupi!
Zadnej książki nie kupi...

— Niech sobie plotą baśnie;
Nie kupi, aha! właśnie!
A mnie naco bibuły!
Niechaj się moralami
Częstują sami.
Dla szlachty artykuły:
To baran, okowita,
Sterta pszemicy, żyta...

— No, tak, tak, ani słówka!
Ho! ho! z sąsiada główka!
Jednak czasem, niekiedy,
Zajrzeć do pism należy;
Niech sąsiad wierzy.
Możebyśmy od biedy
Która tam z nich, we Lwowie,
Trzymali — po połowie.

— Co też bo sąsiad plecie!
Toż i sam mógłbym przecie!
Wszak sąsiad nie posądzi,
Żebym ja nie miał za co?
Lecz pytam naco?
Człowiek dobrze się rządzi,
Co mi książka pomoże?
Zasieje? czy zaozre?

— Nie, lecz tak, ala zabawy:
Człowiek czasem ciekawy
Poznać ludzkie koleje;
Opisują odkrycia,
Wypadki z życia,
Nasze ojczyste dzieje...
Stądiesz, czytasz w gazecie...
Jakiś jeździł po świecie.

— Co mnie to tam obchodzi,
Jak w Ameryce rodzi;
U mnie na polu ładnie.
A czy słońce z zachodu,
Czy też ze wschodu
Idzie, czy gdzie upadnie,
Gwiazdy gasną, czy błędna,
To mi jest wszystko jedno.

— Tak, zgoda na to, zgoda,
Ale dziś czytać moda.
Mówią: lektura płaci
Już i na pańskich dworach.
A przy wyborach,
Walor ma też u braci.
Słyszałem to od żony,
Świat kroczy jak szalony.

— A niechże sobie kroczy!
Czytaj sąsiad, trać oczy,
Marnuj zdrowie i siły;
Ale co do wyboru,
Słowo honoru
Bajki! jak mi Bóg miły!
Mój brat nie czyta aniemi,
A przecież jest marszałkiem!

— No, proszę nie wiedziałem,
Winszuję sercem całem;
To mi wiadomości!
O! znalazem go przed laty,
Bardzo bogaty!
Zaraz powiem jejności,
Zaraz za powitaniem,
Niech się schowa z czytaniem.

— Tak, szanowny sąsiadzie;
Na książkę się nie jedzie,
Ale na dobrej szkapie.
Te z rozumem konszachty,
To nie rzecz szlachty.
Mnie na figiel nie złapie.
No, chodźmy na kolację.
— Tak sąsiadzie, masz rację.

Skarga

Bracia! niechaj na mnie spłynie
Od was prawda i pociecha;
Drobnostka, idzie jedynie
O impertynencje echa.
Jakaśkolwiek kwestję badam,
O czemkolwiek bądź zagadam,
Czy poziomem, czy też wzniostem,
Echo wola — jesteś osłem.

Na przykład, czytam gazety,
Stoi: pan Gil zwiechnął ramie;
Ha! mówię, szkoda poety!
Gazeta pewnie nie kłamie.
W dziennikach baków nie bywa,
Sama jedna prawda żywa.
Z takim przekonaniem wzrostem,
Echo wola — jesteś osłem.

Spotkałem pana Alfonsa,
Cokolwiek bezcelnej miny;
Prawił, potępił węża,
O gwiazdach cłery rodziny.
Ha! — mówię — głowa nieładna
Kiedy tak stanowczo gada.
Zaryzykuj go zrobił posłem,
Echo wola — jesteś osłem.

Czytam książkę, do pioruna,
Bije prasę jak toporem;

Ha! mówię, że też fortuna
Nie zrobiła mnie autorem.
To mi się nazywa pracą,
I chwala! i dobrze płacą.
To mi zająciem doniosłem,
Echo wola — jesteś osłem.

Wiedziałem damę w kościele,
Pewno szukała pociechy,
Bo beczła jako cięć
I wdychała jak dwa miechy.
Ha! mówię, cnotliwa dusza,
Ona mnie do głębi wzrusza;
Jej nabożeństwo jest wzniostem,
Echo wola — jesteś osłem.

Byłem u hrabiego Piasta
Na wielkim, wspaniałym balu;
Ten człowiek, to złotem szasta!
Ha! mówię, umierać z żalu,
Ze hrabia z takim pozorem
Nie jest banków dyrektorem.
Świat jest dzieckiem niedorośłem,
Echo wola — jesteś osłem.

.....

Osłem! osłem! cóż u czarta!
Myślę, to chyba wypadła,
Że część ludzkości nie warta.
Ale jaka na to rada?
Ta część ma moc i znaczenie...
Ha! mówię, wiem już — milczenie.
Trzeba być pokornym wiosłem,
Echo wola — jesteś osłem.

Dukat

Ołtarz, ksiądz, dziewczę, senator...
Zabrzmiato „Veni Creator“...
Lilička wspaniale krocy
U boku starego grata.
Jakim ogniem płoną oczy!
Jak ona kocha — dukata.

Jedna — fioleczek pachnacy;
Druga — cieni szpetny, kolacy;
On — pstry motylek chłopaczek.
Czemu wciąż nad cierniem lata?
Pewnie ślepy nieboraczek!
Nie, hultaj widzi — dukata.

Biedny lud błęka w ucisku;
„Pax et Dominus vobiscum“ —
Wola nad nim sługa Boży,
I błaganie ręce spleta;
Błogostawi, w proch się korzy...
Święty! ale wzię! — dukata.

Za bankierską ladą drwiący
Stoi i lekceważący.
Co to jest? zgłął się we czworo!
Pewnie chory! tam do kaha!
Zdrow! niechże mnie diabli biora,
Toć on zobaczył — dukata.

Radychał; szedł prostą drogą,
Spotkał księcia — kopnął nogą...
Dziś szczone czyni z języka
I hrabiom buty obmota.
Czyżby biedak dostał bzika?
Tak, dostał; — ale — dukata.

Rzecz jasna i oczywista,
Sprawa dobra, słusna, czysta,
Tylko że nieco zawila;
Idzie się do adwokata.
Nieste dokumentów siła...
Głupsi, niesie się — dukata.

Proszą go do biednej baby,
Nie może iść, bo sam słaby.
Pan bankier X zachorował!
Skace i na koniec świata
Pędzi jak strzala. Zwarował!
Nie, nie, nie, zwietrzył — dukata.

Księża! dziś świat w nic nie wierzy;
Do kościoła i pacierzy
Słaba go ciągnie pokusa.
Spróbujcie, choć na trzy lata;
W ołtarzach, zamiast Chrystusa,
Malować ludziom — dukata.

Ten... tego...

— Jak się miewasz, Stanisławie!

— Ledwie oczom wierzę;

Czytałem o twojej sławie

I dziwię się szczerze.

— Jako, kochany kolego?

— Nic, wpróż czerwono pisałeś,

Teraz jakoś pobielales.

— Nie... widzisz... dzisiaj... ten... tego...

Na świecie... różne są zdania...

— Wiem, wiem, pisesz z przekonania.

— A! dzień dobry, mój Arturze!

Takieś wczoraj skoki

Wyprawił przed hrabią w biurze,

Zem się brat za boki.

— Jako? cóż w tem widzisz złego?

— Nic, lecz dawniej byłeś hardy,

A teraz jesteś mniej twardy.

— Nie... widzisz... dzisiaj... ten... tego...

— Wiem, wiem, tańczysz tak z grzeczności.

— Dobry wieczór, mój Michale!

Znowu do gościła?

Kogo witam, nie wiem wcale,

Diabla czy aniola?

— A to znowu co nowego?

— Nic, wpróż byłeś heretykiem,

Teraz jesteś fanatykiem,

— Nie... widzisz... dzisiaj... ten... tego...

Zawsze lepiej... czasem... muszę...

— Wiem, wiem, idzie ci o duszę.

— Ot co powiem, mój Stefanie,

Brylant u surduta?

Przepraszam za moje zdanie,

Ale jest niedźwioły.

— Jakto? jakto? co? dlaczego?

— Nic, wpróż byłeś moralistą,

Teraz jesteś finansistą,

— Nie... widzisz... dzisiaj... ten... tego...

Kraj nasz... w razie urodzaju...

— Wiem, wiem, robisz to dla kraju.

— A to co znowu, Jakobie?

Twój plan finansowy,

Nie poznaje cię w tej szubie,

Skądże taka bu